

Nr 3 (19)

2006



W ramach
programu
Promocji
czytelnictwa

ISSN: 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP

Natura człowieka

Jest z pewnością bardzo trudno określić naturę człowieka. Wykracza on poza wszelkie ramy nadawanych mu określeń przez swoje czyny, czasem bohaterskie, a czasem straszliwe, przez niezmierną różnorodność swego charakteru i zamierzeń, jakie usiłuje realizować, przez nie dającą się wyczerpać nowość swych dzieł i przez podziwu godną zdolność do regeneracji po każdym prawie swym upadku. Wszelkie wysiłki, by objąć pełnię jego istoty określeniem zadowalającym i adekwatnym, okazują się daremne (...) Natura ludzka polega na nieustannym wysiłku przekraczania granic zwierzęcości tkwiącej w człowieku i wyrastania ponad nią człowieczeństwem i rolą człowieka jako twórcy wartości. Bez tej misji i bez tego wysiłku wyrastania ponad samego siebie człowiek zapada z powrotem i bez ratunku w swoją czystą zwierzęcość, która stanowi jego śmierć.

[Roman Ingarden - Książeczka o człowieku]

Wyrastajmy więc ponad samych siebie. Oczywiście skomplikowana natura każdego z nas, prowadzi wielokrotnie do wza-

jemnych napięć. Jednak sądzę, że nie jest to powód do obrażania się czy rezygnacji z udziału w życiu kulturalnym naszego miasta. Piszę o tym, bo takie właśnie postawy ostatnio zaobserwowałam. A gdyby tak mniej małostkowości, o której także pisze cytowany Ingarden, a więcej ludzkiego zrozumienia i tolerancji? Grono z nas dało ostatnio wspaniały przykład właśnie takiego zachowania. Podczas spotkania 24 maja na Gąsiorkowej Wieży w Santoku, Majowa Bzianka, wśród pachnących jeszcze bzów, przekształciła się w pewnym momencie w międzynarodowe spotkanie poetyckie. Całkowicie goście przypadkowi, z Anglii i Finlandii, którzy wybrali się za Gorzów z polskimi przewodnikami, by poznać polską okolicę, zaczęli czytać wiersze. Uczestnicy spotkania, wzięli udział w premierowym czytaniu po polsku i po angielsku (w przekładzie Władymira Komlewa) mojego najnowszego tomu wierszy pt. „Imaginacje”. Dziewczyny z Europy były oczarowane. Mniej poezją może, a więcej naszą gościnnością. Goście nakarmieni roladkami, sałatkami, lodami, słodyczami, po wypiciu żołądkowej, wychodzili w przekonaniu, że w Polsce jest świetnie!!! Tak moi drodzy, w przekonaniu, że w Polsce, a dokładnie w Gorzowie Wielkopolskim, są wspaniali ludzie!!! Uwierzymy więc i my w to, że jesteśmy wartościowi. Świat nas już docenia, czas byśmy zrobili to samo. Lektura Ingardena zapewne nam w tym pomoże.

Beata P. Klary



Fot. Piotr Miler

Na zdjęciu od lewej Roman Habdas, Beata P. Klary, Zofia Bilińska, Barbara Schroeder, Hanna Kaup, Lyselle Kendall z Anglii, Riiikka Maria Turkia z Finlandii, Jerzy Gąsiorek i Bartłomiej Kubiacyk.

Pożegnanie z Księdzem Twardowskim

„Zdarzyło się, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się. Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty: *polna myszka siedzi sobie, konfesjonal ząbkiem skrobie, kto bibulkę buchnie, temu łapka spuchnie...* – uspokoiłem się. Zapewne wszyscy pisali w najlepszej intencji. Jestem im wdzięczny za to, że chcieli zwrócić na mnie uwagę. Niestety, przeważnie pisali niezgodnie z moją wrażliwością” (Cytat z książki Jan Twardowski, *Łaską zdumiony. Moje szczęśliwe wspomnienia*).

Rzeczywiście, najtrudniej jest pisać o poecie zgodnie z jego wrażliwością. Najczęściej bowiem, zastanawiając się nad tym *co poeta miał na myśli*, tracimy z oczu samego autora. A przecież właśnie postać piszącego jest najważniejsza. W przypadku księdza Twardowskiego należy pamiętać, że starał się on zawsze śmiać z siebie samego. Dążył do uzyskania wewnętrznej równowagi i dystansu wobec siebie jak i wobec otaczających zjawisk. Skupiał się na humorze, zgodnie z zasadą ulubionego poety Mickiewicza, który pisał: *Wszystkich na śmiech wystawił dowcipem ucieszny./ Prócz jednego szatana. On jeden nieśmieszny*. Twardowski uwielbiał się śmiać. Był (jak trudno jest pisać o Nim w czasie przeszłym) wielkim propagatorem śmiechu. Uważał bowiem, że jeżeli śmiejemy się z własnych słabości, to stajemy się bardziej ludźmi. Umiał śmiać się w najtrudniejszych sytuacjach. Jako zwykły uczestnik Powstania Warszawskiego natrafił któregoś dnia niespodziewanie na niemiecki patrol. Tak to wspominał: *Postawili wszystkich pod ścianą i chcieli rozstrzelać. Jednak przedtem jeden z nich kazał mi pokazać legitymację. Otworzyłem. Nie wiedziałem, że miałem obrazek Matki Boskiej. Niemiec go zobaczył, spojrzał na mnie, odsunął od ściany i kazał odejść. Uratowanemu trudno było potem żyć. Żył jednak, śmiał się, choć wiedział, że stan duchowny będzie jego drogą. Wiersze pisał już jako nastolatek. Także w czasie wojny pod kryptonimem Antoni Derkacz. Zawsze przyświecała mu dewiza *Mniej, to znaczy więcej. Mniej słów, ornamentów, erudycji, więcej autentyzmu, prawdy, humoru* (Cytat z książki Jan Twardowski, *Zaufałem drodze*. Wiersze zebrane). Pokazanie dobra było dla poety najważniejsze. Pochylał się nad wszystkim, co było drobne, niezauważalne, skromne. Uważał bowiem, że *W tym, co nieważne – jest coś ważnego, w tym, co niepotrzebne – coś potrzebnego, w tym, co nieświęte – jest coś świętego* (Cytat za: A. Iwanowski, *Kontynuacje barokowe w liryce Twardowskiego*). Takie podejście do rzeczywistości pociągało za sobą określoną intencję twórczą, a mianowicie chęć wydobycia i odczytania sensu tego, co ukryte, zapomniane, co*



do tej pory traktowane było stereotypowo. Ten wyjątkowy poeta-jezuita starał się podchodzić do świata wbrew ludzkiej logice, stawiając na swoje odmienne widzenie rzeczywistości. Wielokrotnie podkreślał: *Lubię piętrzyć paradoksy: miłości, wiary, śmierci – dotyczące wymiarów egzystencji. Uważam, że ich rozwiązanie leży tylko w naturze Boga* (Cytat za: *Podzielić się wierszami*. Z ks. Twardowskim rozmawia J. Nachiło, „Kurier Poranny” 1992, nr 266). W zjawiskach takich jak cierpienie, brzydota, kalectwo, starał się pokazać wartość, niewidoczne piękno, które może dostrzec jedynie człowiek wrażliwy, a właściwie jego „trzecie oko”. *W Ewangelii jest mowa o umarłych, o ślepcach, trędowatych – a ostatecznie wszystko jest dobrą nowiną*.

Tak o jego poezji pisze Helena Zaworska :

„Mówiąc o zawitych sprawach wiary i miłości, Twardowski nie straszy nikogo piekłem i nie traci ani przez chwilę nadziei na zbawienie każdego. Piekła w jego poezji właściwi nie ma, a niebo przypomina wesołe miasteczko, dziecinne wyobrażenia o radości. Właśnie ocalenie dziecka w sobie jest pragnieniem bardzo ważnym. W tej poezji nie teologia, ale dziecięcość prowadzi najpewniej do wiary.

Do miłości zaś, która jest jedną z najtrudniejszych i największych sztuk życiowych, prowadzi cierpliwość, zapomnienie o sobie i poczucie humoru *Pan Bóg wynalazł humor, by ocalić czułość* (Cytat z „Wprost” nr 926). Humor Twardowskiego nie jest jednak satyrą czy napastliwym ukazywaniem ludzkich błędów. To raczej dobroduszna akceptacja człowieczej ułomności i autoironia, gdyż *humor stara się złagodzić, rozładować dramat, ośwoić z przemijaniem i śmiercią*.

Poeta często sam przytaczał następującą anegdotę: *Przychodzę do zakrystii, jakaś młoda kobieta wita się ze mną poruszona, mówi: Patrzę na księdza i przechodzi mnie dreszcz od stóp do głów z przerażenia. Pytam — dlaczego. — Bo ja byłam przekonana, że ksiądz już dawno umarł*.

Dziś ksiądz zapewne śmieje się z tego jak zawsze, a nam pozostała tęsknota.

Trudno jest śmiać się przez łzy, ale jest to jedna z nauk Twardowskiego. Łzy są dobre i niech takimi pozostaną:

*Nie czekaj na wzajemność
telefon i różę
gdy ciebie nie chcą
nie piszcz, nie szlochaj
najważniejsze przecież
że ty kogoś kochasz
czy wiesz
że łzy się śmieją
kiedy są za duże.*

Z relacji najbliższych przyjaciół i współpracowników poety

wynika, że jego śmierć była jakby zapięta na ostatni guzik w księżowskiej sutannie. Żadnych buntów czy narzekań. Choć podczas ostatniego pobytu w szpitalu ksiądz Jan miał problemy z żołądkiem, krążeniem i oddychaniem, paradoksalnie cieszył się, że odchodzi, bezwarunkowo godził się na Boży plan, był przekonany, że wkrótce – już w lepszym świecie – znów zobaczy swoich rodziców. Według wieloletniej edytorce jego dzieł, Aleksandry Iwanowskiej, tuż przed śmiercią prosił, by powtórzyć wszystkim: *Pan Bóg jest uśmiechnięty i ma poczucie humoru*. (Podaję za tygodnikiem „Ozon”, styczeń 2006).

Ostatnie wiersze księdza Jana zamykają jego życiową misję. Wszystko od tej pory będzie dla Niego już tylko – naprawdę! W tych ostatnich chwilach dokonał rozrachunku z życiem.

Beata P. Klary

Requiescat in pacem

Odejść od świata – zanurzyć się w Bogu
a potem znowu być tutaj z powrotem
aby powiedzieć – Już widzę odwrotnie
to co nieważne takie ważne teraz
jak jedno pióro wilgi
zgubione w Afryce
jak kasztan co spada i puka do grobu
chłopcu, co chrząszcza
odnalazł martwego
co miał na krótko dwa wąsy zuchwałe
szepnąć – Patrz dojrzał do dalszej podróży

Świętą Agatę budzi na dobranoc
Wszystko umiera co jest nieśmiertelne
ludzie rośliny zwierzęta skazane
deszcz błazen co zlał się na zegar słoneczny
smutna wierność na zawsze
ale nie na co dzień

Odejść od świata – zanurzyć się w Bogu
I znowu potem powrócić na ziemię
uścisnąć małpę i ostre kamienie
żółwie bo idą najwolniej do ślubu
Wszystko co przyszło z
Niewidzialnej Ręki
widzieć kobietę co biega po dworcu
czeka na tego który nie przyjechał
płacz i nie wie że tak się stać miało
bo miłość starsza od nas i większa
niż szczęście
Bocian na gnieździe otwartym obraca się
w słońcu
by stałe swym cieniem pisklęta zasłonić
mądrość też starsza od nas – więc czemu się
boisz
– nie dręcz nad uchem jak mąż wystudzony
– przecież mogliśmy się tutaj nie spotkać

Kto wrócił stamtąd – nie pyta dlaczego...

Jan Twardowski (2006)

List do Poety – Księdza Jana Twardowskiego

Czcigodny Ojcie
w pierwszych słowach donoszę
że w moim świecie również

dzieciół werbluje zawzięcie
burząc spokój pod korą
zając zafrasowany kica czasami
śmiesznie majtając uszami
krasnowłoch kurząc fajki na mszystych poduchach
zbierają rosę w kielichy chrobotków
plotąc przy tym bajki
dąb okaleczony trwa ciągle
na straży istnienia
są drzewa z Bożą Męką
których topór nie śmie ruszyć
są miejsca w lesie na końcu świata
skąd nawet i wróble wracają
i jeziora z taką ramą szuwaru
że aż się gęba sama rozdziawia
na lobelii ważka zastyga
pierwszy raz patrząc na świat
boży rościczka złowrogimi perełkami
nadał wabi owadzych próżniaków
zimorodek błyskawicą szmaragdu
łączy konar i wodę
a bocian też stoi ciągle
na tej samej nodze
bekas godzinki odmawia głosem baranem
derkacz mu wtóruje jak patykiem po płocie
dudek czubem się chlubi
choć gniazdo zapaskudził
boża krówka spod nieba wraca
bez obiecannej kromki
krocionóg się zwija w złocistą spiralę
udając że nie ma go wcale
są też strzechy słomiane
malwami podparte
a babunie na przyzbie tkwią
w przeszłość zapatrzone chabrem oczu

są ludzie dla których
Święty Antoni jest lekiem na ich roztargnienie
a Madonna z Rokitna uszka nie zasłania
najważniejszym z partonów jest święty z Asyżu
najcenniejsze
są te specjalne kwietniowe szafirki
i słowa myślom nie przeczą

są ludzie
co błogosławieni się czują pośród potępionych
i potępionymi wśród błogosławionych
choć wiedzą, kto stwarza jagody

Kończąc, jeszcze donoszę, że modłę się czasami
Twoimi, Ojcie, wierszami
z poważaniem wielkim

Ludwik J. Lipnicki

... O łaskę pogody ducha...

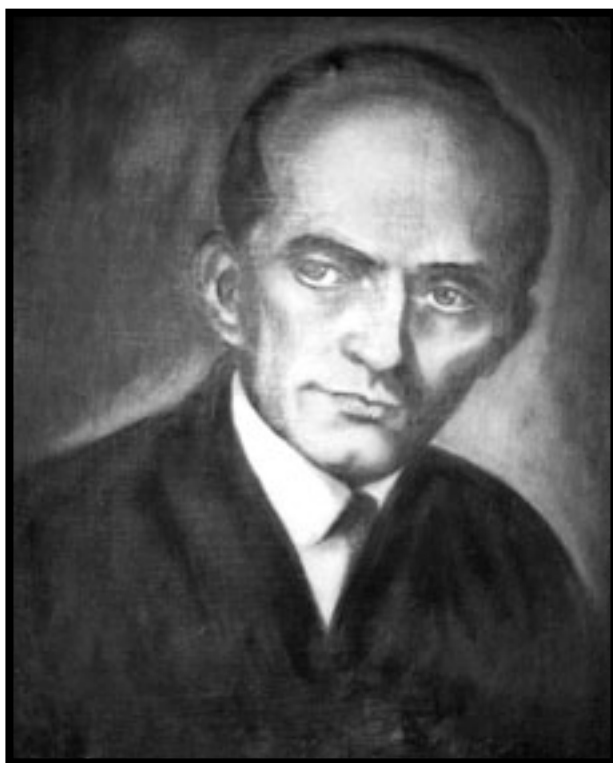
Thagar – z sanskrytu znaczy król. Taki przydomek (*Sownakuno thagar* – *Król złoty* - przyp. L.B.) nadali Jerzemu Ficowskiemu gorzowscy Cyganie, którego 17 maja br. na warszawskich Powązkach pożegnano w obecności licznej gromady przyjaciół i miłośników jego talentu.

W trakcie uroczystości żałobnych Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przekazał rodzinie zmarłego złoty medal „Gloria Artis”, który Jerzemu Ficowskiemu przyznano pośmiertnie. Nad jego trumną, w obecności sztandaru AK i działaczy KSS KOR – skrzypaczka i solistka **Weronika Szen** w imieniu gorzowskiego „Terno” – swą nastrojową grą oddała hołd odkrywcy Papuszy i współtwórcy współczesnej, polskiej cyganologii. Obok katolickiej celebry, żałobny kadis� odśpiewał **Michael Schudrich** – naczelny rabin Rzeczypospolitej, oddając tym należną cześć Ficowskiemu za tworzenie i upowszechnianie kultury żydowskiej. **Krzysztof Czyżewski** z Sejnu odczytał pośmiertny nekrolog – wiersz napisany przez zmarłego, którego życzeniem było opublikowanie tego tekstu po jego śmierci. Ten, jakże wymowny w swym przesłaniu wiersz, przekazuję również naszym czytelnikom.

Gorzowskie refleksje Ficowskiego

Stojąc nad trumną tego wybitnego poety, prozaika, eseisty i tłumacza, przywoływałem obrazy ze spotkań z nim, jakie miało miejsce przed 10 laty, gdy dzięki **Edwardowi Dębickimu**, z którym Jerzy Ficowski napisał również wiele pieśni inspirowanych folklorem cygańskim, dane mi było poznać tego biografa życia i twórczości Brunona Schulza.

30 listopada 1996 r. Jerzy Ficowski otrzymał przyznany przez wojewodę gorzowskiego Medal Honorowy „Za zasługi dla województwa...”, który wręczył w mieszkaniu warszawskiego twórcy ówczesny dyrektor Wydziału Kultury **Janusz Dreczka**. Dziękując wówczas na-



Portret Jerzego Ficowskiego (Krystyna

szemu wojewodzie, Ficowski powiedział m.in. (...) *Zasługi dla województwa są z mojej strony szczególnego rodzaju. Ograniczają się do kultury cygańskiej w najszerszym pojęciu. To znaczy – nie tylko do Papuszy. Właściwie są to zasługi nie tylko moje, ale spowodowane działalnością, inspiracją rodzin: Wajśów, Krzyżanowskich, Dębickich, Korzeniowskich i innych. Słowem, tych wszystkich rodzin, które poznałem i których cygańskie drogi zaprowadziły mnie do Gorzowa. Ja nie byłem przewodnikiem w tej drodze, kiedy Gorzów stał się miejscem, w którym ci moi wędrujący wówczas cygańscy przyjaciele – zamieszkali. W ten sposób nawiązywali kontakty z Gorzowem jako jego mieszkańcy, a ja – jako przyjaciel mieszkańców. Stąd się wzięły moje związki z Gorzowem (...)* Tak więc dzięki Jerzemu Ficowskiemu: Wieprzycze, Płoty, Maszewo, Gorzów, Witnica, Żagań i inne miasta północno – zachodniej Polski, którymi wędrował „wołyńsko – gorzowski” tabor, stały się ważnymi miejscami dla cyganologii polskiej, dla upowszechniania kultury i twórczości tej grupy etnicznej, którą po kilku latach znała cała niemal Europa.

O Brunonie Schulzu

Choć przez lata bliskie sercu pozostawały Ficowskiemu jego związki z Cyganami, to Schulz był niewątpliwie pierwszym owocem jego twórczego zachwyty. Był *totalnym artystą. Od życia potrzebował tylko pożywek dla twórczości* – mówił nam wtedy. Przez 50 lat poszukiwał manuskryptów Schulza i ciągle miał nadzieję, że może już niedługo, a może za 100 lat, odnajdą się jeszcze pakiety z rękopisami twórcy „Sklepów cynamonowych”, które widziano, gdy po wojnie przewożono je w skrzyni z Niemiec, do - być może - jakiegoś archiwum NKWD w byłym Związku Radzieckim. Jeden z dyplomatów skandynawskich – jak nam mówił Ficowski – znał nazwisko owego depozytariusza skrzyni, jak i miejsce złożenia przesyłki. Niestety, krótko przed wspólnym wyjazdem z Ficowskim „w tamto miejsce” ów

Ja
niżej podpisany
JERZY FICOWSKI
przenosząc się dnia . . . 20.. roku
do Wieczności

*zakończyłem tutejszą egzystencję
nie ukończywszy niczego
zgodnie z Regulaminem Stwórcy
i z odwieczną praktyką
mieszkańców tego źle pomyślanego
i jeszcze gorzej prowadzącego się świata
– usilnie proszę
moich Bliskich i moich Dalekich
o błogostawieństwo uśmiechu
i łaskę pogody ducha
zamiast westchnień i smutku
bowiem nie stało się
nic nadzwyczajnego.
Za spełnienie tej prośby
z góry wszystkim dziękuję
i za kłopot przepraszam*

/-/ Jerzy Ficowski
Warszawa, poza zasięgiem czasu

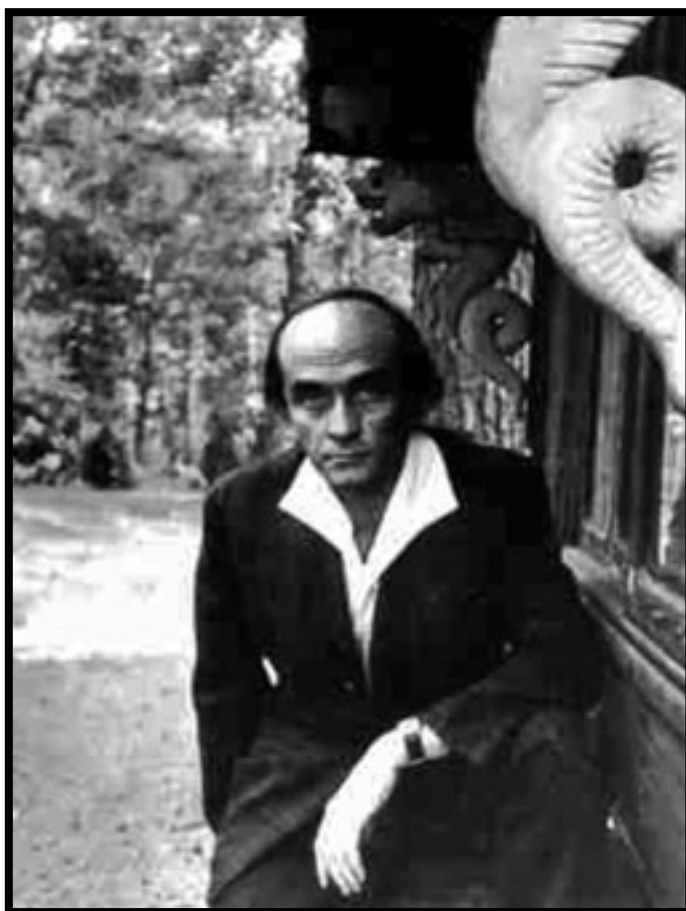
dypłomata zmarł, zabierając tajemnicę do grobu.

Niech pasje twórcze Jerzego Ficowskiego – człowieka renesansu, szanującego kultury wszystkich narodów, będą dla nas inspiracją takiej postawy. Bo – jak prosi Ficowski – potrzeba nam uśmiechu i pogody ducha - zamiast westchnień i smutku.

Leszek Bończuk



Jerzy Ficowski w Gorzowie, w sierpniu 1996 r.



Weronika Szen z „Terno”
oddaje hołd odkrywcy Papuszy



Leszek Bończuk i Edward Dębicki z wizytą u Jerzego Ficowskiego

GORZOWSKI SPLEEN

Lato

Latem ramiona snują się bezwiednie jak ślepe jaszczurki. Gołe oczy ubrane w czarne zbroje wypatrują rozrywki wśród duchoty ciał i proszą o pomoc nieżyjącą już dawno wyobraźnię. Miasto jakby przepełnione pustką, martwością zgiełku bez celu. Wszyscy nad jeziorami suszą lub moczą swoje zmęczone życiem ciała, daleko od nudy i melancholii. Wrócą ze smutkiem. Do czego? Do wypicia zimnego piwa, do widoku zgrabnych nóg, choć zatwardziały i sztywnych, dawno nie rozwieranych jak okulary w sztywnym opakowaniu. Bo reszta to śmierć, śmierć łękliwa, wpadanie pod spód, na dno, po zatracenie. Gdzie rozrywką staje się komórka, już nie spaceru nad rzeką – rzeka jest dla pijaków, żeby lepiej mogli topić swoje ciche żale. Pozostaje mało: rozglądanie się dookoła, przypatrywanie gestom szarych ludzi, tak szarych, że już nawet nie pasujących do codzienności, która ich wykreowała; kształciła ich pamięć, wtapiała w zbiorową rzeczywistość, jeśli takowa istnieć może. Są tacy ludzie. Tylko ich słowa głuche, nieme w prawdzie jak cisza, jak żalosne kwilenie dziewczyny smucącej się niechęcią.

Pozostaje wypożyczanie pożółkłych książek z dzielnicowych obskurnych bibliotek, jakby czekających na unicestwienie, powoli konających. I nawet w tej głębi oczy zapatrzane jakby w śnieg, w czystość jego, biel. Czy latem można rozkoszować się wzrokiem? Nie, nie można. Da się tylko sycić życiem. Zbieraniem nadziei, celów. Szukaniem miłości. Odsoną radości. Zdaje się, że ktoś przechadza się swobodnie chodnikiem, tuż przy dziurawej ulicy. Nie, to przywidzenie – w tym mieście, pełnym ludzi, nie ma nikogo. Latem uśmiechów jest więcej, więcej jest rumianych policzków – ale mniej jest ludzi, jakby zapomniało zbiorowe zatracenie, jakby ulice zmieniły się w kałuże, drzewa skonały śmiercią ludzką, tą najbardziej bolesną, kwiaty zwiędły, a świat nie wydał już z siebie żadnego cichego dźwięku milczenia. Koniec świata. Początek cywilizacji.

Wieczorami, wracając do domu, ludzie zagubieni w nudnościach ciągle tego samego scenariusza dnia, spotykają na swojej drodze dwudziestolatków, niespełnionych życiem idiotów, którzy atakują świat słowami, obrażają spojrzeniem, za-

bijają zachowaniem. Pijani zamieniają się nie w źródło zabawy, ale w wulkan agresji, który pluje gorzko niespełnieniem, nikłymi ambicjami i martwością duszy. Popołnia wtedy samobójstwo, powoli zamierają dla prawdziwego życia. Już tylko istnieją dla pozorów, bez złotych marzeń. Niszczą majestat umiejętności dostrzeżenia egzystencjalnego szczęścia, niszczą drogę w stronę zapachu jabłek...

Nie czuję się wcale jakbym żył, tylko mozolnie walczył o przetrwanie – gdzie tu szukanie wzruszeń, wspólnych spojrzeń i dotyku gładkiej kołdry? Człowiek samotny jak starzec stukający niepewnie laską codziennie o ten sam chodnik. Niegodnym jest dotykać tego skalanego bruku, tej martwoty przedwczesnej, jakby istniejącej od zawsze, od zarania dziejów. Gorzów – miasto dinozaurów. Dinozaury walczące ze sobą o pożywienie, wodę i samice. A samice jakby pomazane rozkoszą grzechu, choć nigdy nie ruszane, oddychają ciężko jak drzewa. Cierniste myśli oplatają głowę, gdy naga kobieta drogą idzie – targają zmysły na pokuszenie. Ona owinięta szalem tłumy, ich wzrokiem opięta szczelnie. Jej włosy czarne jak sierść kreta, milknące w noc niczym nietoperz ciemną. I na tym upływa czas, czas martwych kukiełek, ludzi, w ich powolnym opadaniu: myśli, idei, marzeń. Nie ma już nigdzie bieli – prawdziwej, zmęczonej, bo zmęczenie to naturalność, zagłada obłudy; pozostaje umiowanie – bowiem taka jest za życie cena. Jak wyceniłbyś to życie?

Jesień

Jasność zamienia się w taniec cieni, kropli niemych – przyjaciół ziemi i suchej gleby. Jakby tego było mało: smętne twarze, twarze zdechłe, mętne twarze, twarze strapione, skwaszone twarze, twarze markotne. Deszcz staje się symbolem łez – chłopcy zrywają swoje związki z dziewczynami, mężowie znowu zatapiają się w ciemnej przestrzeni swojego fotela, kobiety zaczynają blednąć po sezonie wielkiego osmażania ciała. I żeby ktoś mógł ukołysać to wszystko w jakiś rytm, muzyką Ennio Marricone, to dałoby się żyć. Ale żyć się nie da. Są takie życia. Każdy w dzieciństwie marzy o jakimś niestworzonym świecie, ma własną Nibylandię. Życie sprawia nieustannie, że czujemy się jak zero, na dnie. To aż prosi

o tworzenie uludy wewnętrznej, odskoczni od wszystkiego co prawdziwe – niebo staje się bardziej niebiańskie, trawa bardziej zielona, cierpienie jest jak żart, pozostaje zatopione w szlachetnej obronie uczuć ważniejszych i wspaniałej wrażliwości. Kiedy z niego odchodzimy... Kiedy z niego odchodzisz... To jest jak słowo „nigdy”, jak słowo „tylko”, niedoskonałość wwierca się w nasze instynkty, które pragną być kimś innym, gdzieś indziej. Gdziekolwiek. Czujemy się bohaterami smutnej bajki o nieudanym życiu.

Takie nastroje konsumują wszyscy na kolację, na śniadanie, na obiad, na drugie danie, na lunch, na drugie śniadanie, na obiad, podwieczorek, kolację, kolację, śniadanie, obiad, kolację, obiad, drugie śniadanie, podwieczorek, na lunch... A przecież wystarczy chwycić ręką głośnik wygrywający jakiś art-rockowy utwór i poczuć jak drga, poczuć swoje życie, swoje istnienie i polecieć w niebo, w wielkość, na szczyty, złapać moc, poczuć w sobie moc, już nie mówić: nie mogę, nie mogę, nie potrafię, nie potrafię, nie, nie... Już nigdy nie mówić nigdy i nienawidzę!!! Czy ty potrafisz ją rozumieć, potrafisz słuchać? Jesienią nie można wyjść z kobietami do kina – film je niczego nie uczy, nie pozostawia na nich swojej skazy wielebnej; one zapominają zabrać ze sobą naukę, morał, zapominają zmieniać się na lepsze – wracają ponuro do swojego płytkiego wnętrza i podniecają się ulotnie niekontrolowanym wzruszeniem, zapominając bezwiednie o tym, co je wywołało. One nie potrafią być w osłupieniu, zapomniały się gdzieś wśród nagich ciał smętnej rzeczywistości.

Nie da się bywać w osłupieniu zanośszym się za horyzont oniemiaenia, bowiem nie ma w ludziach zapomnienia, lekkiego szmeru zamkniętych ust i subtelного przeróżnienia świata. W tym spleenie zaplątanie wywija odnóżami jak konający lew – pozostają wspomnienia słabych pragnień.

Ludzie stali w swoim bezruchu – nie robicie tak naprawdę nic, wasze życie wygasa cicho, gaśnie jak dopalająca się świeca, niknie w oczach, umiera jak zero. Potraficie tylko gnić w swoich domach, wy, stali w swoich pragnieniach – zapaleni maniaci nudy. To, że potraficie wyjść czasami do jakiegoś pubu, kawiarenki internetowej nie oznacza w praktyce nicze-

go. Wszystko to jakby wyjście do sklepu – i już z powrotem na własne bagna. Nie można was ruszyć, słudzy monotonii, wyjść z wami gdzieś indziej, do innego życia. Świat jest różnorodny; wy w owym świecie niczym posągi.

Nie ruszacie się. Nigdy. A myślicie, że podbijecie świat i jesteście rozrywko- wi – co za ułuda głupoty. Wy, sterowani innymi i przegrywający z rzeczywistością, zginić już na zawsze! Nie ma w was już nawet odrobiny szaleństwa – tylko pełny zastój i melancholijne łkanie o życiu. Kto ostatnio widział człowieka, który nagle obraca się dookoła ze szczęścia na oczach przechodniów, kto widział brata rzucającego się drugiemu bratu na szyję? Powolne konanie... Jesień – płochliwe rozrywki, jałowe dysputy.

Podczas gdy świat stygnie jak niechciana kochanka, wypatruję soczystej alternatywy, pragnąc odnaleźć nitkę nadziei – a wszystko w poszukiwaniu odwrotu od dorosłości, tej fałszywej matki dłużej żyjących. W Gorzów zaplątany, zawinięty szczelnie w jego uciekające cienie, wpatrujący się głucho w dekadencje upały w fizjonomii nastolatków, pragnę czegoś, wołam o coś, lecz sens nie przychodzi...

Zima

Depczę na białe beton ludzi zastających w pragnieniach swoich, ugniatam tę masę szczęśliwo-głupią, stąkam po tych tłumach cierpkich jak smak i gardzę. W ludziach tych nie ma miłości do jasności kochanej, trwają w pogoni, jakby lato rozskrzydłało przed nimi drogę na prosto, twardo i łatwo. Żadna noga nie pozostaje w zaspie na dłużej niż błysk srebra – a zaspę te to uciekające chwile.

Brak szacunku do śniegu, który spada spokojnie jak dłoń babci głaskająca główkę niemowlęcia, do śniegu, który spada na tę uliczną zgniliznę niczym milion biletów rzuconych z wieżowca. Wszystkie tutejsze istnienia depczą dary niebios, natury samowystarczającej, swoimi płytkimi trzewikami, jakby niewidomi na sprawy wyższej kategorii. Gdzie podziali się idealisci? Gdzie podziali się prawdziwi romantycy? Wszystko wykąpane w pogorzelisku błota i niepłodnej ziemi. Czy ktoś widzi śnieg? Kiedy człowiek patrzy jaskrawo i jasno na ten zdechły ekosystem, chciałby rzec: „Odpowiadałoby mi próżne, luksusowe życie – jak jakiś lowelas, paniuś, szlachcic. Chyba że znu- dziliby mi się ci wszyscy ludzie, zniena-

widziłbym ich. Nie, przecież tutaj ludzie tacy sami. Soczysta jak marchew próżność. Zdrowa jak mleko próżność.”

Miasto ludzi, dla których nie ma nadziei. Miasto średnie. Nawet nie ma lotniska, by odlecieć w świat dorosłego, cywilizowanego kapitalizmu – pozostają czarne scenariusze jak zapalki rzucone do studni – przepadają. A to wszystko w pejzażach spływającego po dachach śniegu, przyczepionego do podeszw błota, wzburzanych przez wiatry i nieuważne kroki ludzi kałuż, które zabarwiają niechcący ruinę miasta na brązowo. Istnieniem upłatani, umęczeni życiem, w ociążonym uniesieniu, obserwujemy siebie niemrawo: ta kobieta ma szarą twarz, ta kobieta wraca z torbami pełnymi zakupów do domu (włosy posklejane od kurzu i wilgoci), ten mężczyzna upadł na chodnik, ten mężczyzna pije denaturat, to dziecko ma czarne, zepsute zęby, to dziecko ma porwane ubrania...

– Wystarczy! – głos w śniegowej próżni rozchodzi się cicho i zamyka się zanim wypowie cokolwiek. ...i wciąż widać: bogaci i biedni, bogaci i biedni, bogaci i biedni... To jest dolina zbyt posępna dla prawdziwych ludzi, mieszkanie gadów, wszystko dzieje się jak zawsze – nieświadomie i poza możliwością poznania. Bogaci duchowo wyjechali, pozostali biedni – miasto umiera śmiercią tragiczną w swoim realizmie.

Jak sępy pojawiają się (powracając na ulicę) gdzieś tam wieśniaki, czyli dzieci, bo inaczej tych wykarczowanych lasów brudnych istot nazwać nie można, aby zasmakować śniegowego odurzenia. A śnieg jest jak wata cukrowa, którą mógłbym jeść z namysłem. Pochylać się nad nią jak w ostatecznym uniesieniu, pełny zapomnienia, rozkoszy różowej jak wnętrze owocu truskawki, zajądać zapamiętałe i dziecięnie, ciamkać przy tym uczuciami i patrzeć tylko na światło zwisające zza chmur jak niekończące się włosy niebios. Z daleka od szmeru nicości, od zapachu taniego piwa – napoju bogów – z dala od wszelkiego udawanego życia, maskę starannie zakładanych i sztucznych uśmiezków. Ktoś zapyta w końcu, w tym morzu nienawiści, na fali zła, słów wyrzucanych z gniewem:

– To jak mamy żyć? Jak powinniśmy żyć? Jak mamy się zachowywać? Co mamy robić, a czego nie? Czy rzeczywiście jesteśmy pełni śmieci i odpadków? Co się stało? Dlaczego?

– Nie wiem – zabrzmi w uszach wszystkich odpowiedź.

Wiosna

Mizerny, bezmyślny gwar – ja splecione w gąszczu ciał, jak niewolnik – błędny półprzytomnym wzrokiem po śmierdzącej ubikacji dyskoteci, tłum napity, przepity, kompletnie wyprany z emocji. Już wiosna. Idę niechętnie znaną drogą, krępiące mielizny niewiedzy, dynamizują się poprzez coraz szybsze kroki, omijam sklep i ludzi, wszystko nabiera prędkości, wszystko nabiera erotyzmu – pełne seksu wydają się gołe nogi. I w tym bezsensie serca nie do stopienia nawet przez przyrodę. Już wiosna.

Naszym niebezpiecznym patriotyzmem walczymy ze wszystkim, co wydaje się być inne, inaczej myśleć, bowiem zostaliśmy omamieni zgubnymi instynktami rywalizacji, nauczonych w szkole. Nawet miłość wysycha w rytm nadchodzącego gorąca: żona ma pretensje do męża, że niepowtarzalnie nie chce się powtórzyć; denne uczucia, paradoksalne związki. Już wiosna.

I jeszcze te obskurne budynki, jakby powoli konające, śmierdzące biedą i moczem, papierki walające się pod nogami. Na ulice wypływają pary związane wilgotnymi palcami, symulujące prawdziwe życie i napęniają swoje płuca powietrzem dumy, pychy oraz iluzji. Już wiosna. Jasnozielone paki liści głaszczą złość zapracowanych matek i zgorzkniałych babć uparcie przestępujących próg kościoła każdego dnia. Wpatruję się w nie spokojnie, już nie widzę zjadłych spojrzeń, tylko błogie marzenia o rozleniwieniu i orientuję się, że nikt wokoło mnie nie analizuje własnego życia, jakby takie życie miało sens. Zagmatwało się, poplątało...

Już wiosna.

Cichy wiatr oplata suchą jak pergamin skórę i unosi moją głowę do góry, w stronę śniadego nieba. Czuję dziwną, irracjonalną siłę, która wywołuje narkotyczny wpływ na moje zmysły i nagle wpływam w ocean mistycznego odurzenia. Zatrzymuję się. Złudzenie oczarowanych zmysłów. ... To tak naprawdę nie istnieje. To się nie wydarzyło. Takie jest to życie. Są takie życia.

Refleksje snute z powolna odpływają w ciszę, bezżebne milczenie... Uczę się życia od nowa i pozostaję tutaj z nadzieją.

Filip Szyfer

Teresa Wilczyk-Surmacz

Obrazki zimowe albo Kolędy gorzowskie

Pod Katedrą gorzowską
która opływa mrokiem
Katedrą, która i duszą i punktem
orientacyjnym miasta
widziałam Świętego Mikołaja
z wyciągniętą ręką
Lulajże Jezuniu
lulajże
lulaj

Kiedy bezdomny wszedł
do tramwaju
z biletem wyobraźni w dłoni
tramwaj odwrócił wzrok
i lodowato potoczył się
po skrzyżowanych raptem torach

Chociaż śnieg tak niewymownie
pięknie skrzy
to nie wskrzesi
ani ognia
ani umarłych

Sopelkami palców matki
odgarniają z czoła
rozpacz
Wydaje się im że wędrują
ale chodzą w kółko
z oczami pełnymi
kalendarzowego święta

Mało sprzedawałam dzisiaj ryb
mówi zamarznięta na kość kobieta
Jedna wczoraj zaczęła mówić
Przynajmniej nie będę samotna
na wigilię
schowam do kredensu cały
serwis pustych talerzy

Karmiłabym ciebie rybko
ale nie umiem rozmnażać
chleba

Ale teraz
cicho
sza
Bóg się rodzi
Daleko od Gorzowa

Daleko od całego świata

Agnieszka Moroz

Deszczowy pejzaż z dziewczyną w tle

Koniuszek pędzla sięga
zadumanych ust
i na papier strąca
Izolę z Tristanem
stoją pod czerwonym parasolem
spojrzeniami nakłuwają czarnych
żrenic rozlane jeziora

Teraz ja podążam za pociągnięciami
pędzel wypycha mnie poza ramy
w lewą stronę
Idę
płoty dziewczyna
kino słońce
deszcz
jeszcze chodnik krzywy
drzewo lekko pochylone
i już jestem

Skurczona z zimna
z głową w dół obróconą
przykrytą starannie
splątanymi włosami
stoję pomiędzy niczym a nieważnym
w miejscu od dawna wyznaczonym
Sama

Uśmiechają się usta artystki
farba plami mnie
tysiącem brudnych kropel
Nareszcie nareszcie
powtarza małarka
oto obraz
idealnie deszczowy

Karol Graczyk

Mijamy

Odkrywając kołdrę
po śnie
Mijamy

Ulatując w kawę
porannie wtuleni
Mijamy

Karmiąc poezją
spragnione jej usta
Mijamy

Łza rozbija posadzki
w dobrych domach
Mijamy

Włosy
Ręce
Nogi splecione
Mijamy

Zasypiając bez
rumieńca na duszy
przeminiemy
osobno

Aga Kłak

Szara odmiana miasta

Pamiętam
Na loterii wygrałam Ciebie
moje miasto
na ulicznym jarmarku
w harcerskim mundurku
w październiku

Zniknąłeś
Szukałam Ciebie na mapie
mojego miasta
w tłumie barwnych pochodów
w szarobiałym filmie o ludziach
niby szczęśliwych
na Staromiejskim Moście
a wiatr Cię omotał
w czerwone flagi

Nocą
tylko księżyc - odrapany
neon przyświeca
mojemu miastu
deszcz liże patyczki
po wacie cukrowej
pełzną z murów
patriotyczne plakaty
pusty Plac Grunwaldzki

Rankiem
Wróciłeś pachniesz
moim miastem
spakowałeś swoje wspomnienia
na długo
biegnę z biletem na ostatni tramwaj

Zostałam sama
w moim mieście

Monika Kaczmarek

Weronika

zakochana dziewczyna
ubiera zieloną bluzkę
i zarzuca włosami
jakby bukietem kwiatów
wysoko do góry

nie chodzi
biega a nawet
lata
w przypiływie rumieńców
i płomienia ust

niemiłosiernie
plącze korale
i pewna siebie
wytrwałością sama
rozwiązuje problem

coraz częściej też
po prostu
z rozmarzenia
przygryza paznokcie

zmienia kolejność pierścionków
na zakłopotanych palcach
niecierpliwie dotyka
uszu i śmieje je kolczykami

pachnie już zawsze
konwaliami
by zakochany chłopak
pamiętał
o jej delikatności

na zawsze

zieleni rondo
i pierwszy kwiat
tulipan
dużo po dniu kobiet
nie pozwolą zapomnieć
że byłeś

i te stare kamienice
koło przystanku
nawet przy
minus dziesięć
były dla nas
szybką minutą
przed 104 do domu

a w parku róż
chowaliśmy pocałunki
choć i tak nie uciekały

zostały pewnie do teraz
na osieroconej ławce
z zabójstwem farby
dla liter: p o u r t o u j o u r s !

a powinna przecież
runąć

Beata Klary

Rymowanka o mieście

Z mojego miasta
niewiele rozpoznasz
bo szlaki moje
zwykły wieść duktami

Tylko w oddali
dzwon katedry słysząc
gdy stopy kroczą
polnymi ścieżkami

Na poligonach
porośniętych kwieciami
gdzie wśród konarów
rodzin ptasich wiele

Płomień ogniska
odkrywa na nawo
jak pięknie może być
w natury kościele

Zdziwienie

Wspinam się na szczyt
nowego poranka
nie wiedząc jakim blaskiem
zajaśnieje słoneczny przyjaciel
nad dachami mego blokowiska

Przełamuję bariery
stawiane przez ciało
jeszcze czule tęskniące
za sennym marzeniem

Zaczynam pulsować
w rytm pradawnego kroku
moich przodków
tłoczyć limfę w
obiegu zamkniętej skóry

Rozmyślałam o tym
że czas
trawiać innych ludzi
mnie daje szansę
zdziwienia
raz kolejny
tym miastem

Ferdynand Głodzik

Wypis z rejestru

Zadrzewiona działka rekreacyjna
w ciężkim położeniu
wpisana do księgi dawnej
obciążona licznymi hipotekami

świadczyła nieodpłatne
służebności osobiste
na rzecz
każdoczesnego
posiadacza
nieruchomości

W całym obrębie
wielu użytkowało ją
wieczyście

pobierało z niej
pożytki

ale nikt
nie posiadał
na własność.

Moje miejsce

Wojenne rany
Czerwonego gotyku
otoczyły plastry
hardego betonu

Wielkopoleanie przynieśli
miastu swój porządek
i chełpliwy przymiotnik

Pustostany
po Niemcach
zasiedlili
przybysze z Kresów

Przy ulicach
Dąbrowskiego i Łokietka
Rozłożyła tabor
Polska Roma
Gwarem i kolorami
zasiedliła Park Róż

Od piętej rocznicy
Stanu Wojennego
mieszkam tu
u siebie.

Adam Korzeniowski

BEN

Gdy wsuwa olbrzymią głowę między rękę a udo lub ciężki łeb kładzie na naszych kolanach, a jego długa broda mokra jest od rosy, odganiamy go klepiąc po potężnym torsie.

Gdy rano wbiega do domu i wita się z nami, niczym kometa ciągnąc z sobą obłok pyłu, klepiemy go dłońmi po potężnym torsie i za drzwi wypychamy, by w domu nie brudził.

Kiedy grabisz liście, jest niczym cień przy tobie i akurat tam leży, gdzie właśnie chcesz grabić. Lekko szturchasz go trzonkiem, aby się przesunął i klepiesz po torsie, a on pysk otwiera i patrzy na ciebie, jakby się uśmiechał.

Kiedy idę nad Noteć, żeby robić zdjęcia, wchodzi w kadr lub łbem trąca, gdy ustawiam statyw. Więc na niego krzyczę i ręką odganiam, klepię go po głowie i olbrzymim torsie. Wtedy szczeka donośnie, jakby śmiał się z tego i zębami ostrożnie chwyta moje dłonie.

Za oknem jest mglisto, nie słyszę szczekania.

Sypie śnieg, jest cicho, siedzę w pustym domu. Patrzy na mnie ze zdjęcia, jakby się uśmiechał. Gardło się zaciska, gdy chcę go zawołać. Tylko dłoń nie wierzy, że już go tu nie ma. Odruchowo przy udzie szuka wielkiej głowy. Palce chcą się zatopić w skołtuniałych włosach. Wyrwać z brody rzepa – pamiątkę z wyprawy przez łąki i rozlewiska, które tuż za oknem czekają, by w nie ruszyć na wieczorny spacer. Ale palce odnajdują tylko powietrze, a ruch dłoni, kształt kreśli, który jest wspomnieniem.

Adam Korzeniowski



Dzień Kojota

Mgła wylaniała się z rzeki i rozpełzała po łąkach. Trudno byłoby o lepszy kamuflaż. Nie spiesząc się, Schuster skrzył pistolet i ustawił na rozwidleniu gałęzi cherlawego drzewka. Spojrzał przez optyczny celownik na drugą stronę rzeki, ale prócz bladych zarysów zamku niewiele mógł dostrzec.

Zapalił papierosa. Miał jeszcze trochę czasu. Od prawie miesiąca śledził swój dzisiejszy cel i wiedział dokładnie, kiedy i gdzie się pojawi. Był spokojny, jak zwykle przed robotą. Tyle razy to robił... Zawsze, od samego początku, z zimną krwią. Strach, skrupuły, moralne rozterki dyskwalifikują w tym zawodzie. A Armin Schuster był zawodowcem. Doskonałym w tym, co robił. Trafiał pierwszym pociskiem. Zawsze jednak miał w pogotowiu drugi, na wypadek, gdyby chybił.

Potem ulał się nie pozostawiając śladów. Za każdym razem zacierał je dokładnie. Zmieniał nazwiska i adresy. Po wielokroć uczył się swojej nowej biografii, aż w końcu zaczęły mu się ze sobą mieszać i nie był już pewien, która jest prawdziwa. Kim naprawdę jest Armin Schuster zwany Kojotem? Jak się nazywa? Nawet swej prawdziwej twarzy nie był pewien, zmieniając ją trzykrotnie.

Mgła trochę się rozrzedziła i w celowniku można teraz było zobaczyć zamazany obraz łąki i ciemną bryłę skały, na której stał zamek. Coś poruszyło się w jej zagłębieniu, jeszcze rozmyte w powoli ustępującej mgle.

Schuster przerwał rozmyślenia, które były tylko zwykłą zabawą dla zabicia czasu. Przyłgnął do pistoletu, zmrużone oko obserwowało postać wynurającą się ze skalnej jamy. Zbliżyła się. Po chwili była już dobrze widoczna. Schuster wyczekiwał jednak, aż zbliży się jeszcze bardziej. Wiedział, że podejdzie na brzeg rzeki napić się wody. Robiła to każdego ranka.

Oderwał się na moment od celownika, ale zaraz przywarł doń z powrotem. Teraz widział go doskonale: był ogromny i pokraczny. Nawet gdyby Schuster żywił takie uczucia, nie miałby dla niego litości.

Wypalił. Trafiał bestię w samo serce. Pocisk dum-dum rozerwał stwora na strzępy. Huk eksplodującego cielska wypłoszył ptaki z szuwarów, które uleciały w powietrze z panicznym krzykiem. Ohydny podmuch siarkowodoru uderzył Schustera w twarz. Odwrócił się z trudem łapiąc oddech. Pospieszenie schował broń i rozwiął się w resztkach mgły.

Tajne służby królewskie zatarły wszelkie ślady związane z tym incydentem, a rzecznik prasowy króla wielokrotnie dementował insynuacje, jakoby to on był zlecniodawcą zabicia smoka.



Powidoki

Szybko wlecze się czas

Oczy moje nakryłem zmurszałymi powiekami i przycisnąłem dłońmi ciężkich lat. Chcę sobie lepiej uzmystowić początki świadomości, magmę dzieciennego wzrastania ku rozjaśnianiu tego, co wokół.

Powidoki są rozległe, wiekowe, rozedrgane światłem i słowami bijącymi ze sfer okosłonecznego oblicza matki. Z jej oczu i ust. Sięgają ojcowskiego dorzecza Odry i Warty. Rozlewisk Kostrzyna. Polskiej Bogudzieńki na Ukrainie. Gorzowskiej Kłodawki falującej ku dojrzewającemu polderowi mojego wnętrza. Ku oceanowi wszechświata.

Blask i szadz

Krzyk wzniecony przez pożar. Jeszcze dziś słyszę go we wnętrzu matki. Biegnąc w kierunku dymu, podtrzymywała rękoma duży już brzuch, czyli mnie. Wołała do kołchoźników:

– Ludzie, dokąd tak przecie?! Co się stało?! – Kto się pali, ja?!

Tupot nóg po czarnoziemiu. Sapanie wysięgu.

– Sąsiadko, toż to wasza chałupa! Strzechę przebijają słup dymu! Kilka wiązek z boków! Trzask palących się belek i śwąd prażonej gliny przemieszanej ze słomą. Popękane szyby w oknach przestrzeni. Wewnątrz – cug i przeciąg.

Ewelina dobiega kresu. Szukając oparcia nieistniejącego od dawna płotu, pada na gościnne, otwarte na przestrzał plecy podwórka i dobywa z siebie krzyk następny:

– Ludzie! – Rodzę! – Pomóżcie!

Zbiegły się baby porzuciwszy wiadra. Te mogły służyć raczej do gaszenia pragnień niż ognia, bo studnia daleko, woda w niej głęboko. Pragnień jak żar, wybuchających skrycie – nie do ugaszenia.

Tak spełniły się dwa porody: Ewelina skierowała ku światłu mnie, pożar oddał ziemi moich starszych: Jasia, Stasia, Michasia i Tosia. Ot taki zaczadzony życiem i śmiercią czas. Początek różnorodnych zdarzeń z jawy i snu. Rozbłysków, przebłysków, pobłysków trwania.

Potok na szynach

Samochód z rzeczami i nami, bo po drodze nam było z Ukrainy do Polski. Rafał i Ewelina. Z nich i z nimi – Witek, Łodzik i Bronek. Z nimi krowina – Lalka. Żywicielka.

Wagony towarowe tworzące pociąg na jakieś stacje. Pęd kół po nadkrzewiałym polysku szyn zastygł w końcu przy granicy dwóch powojennych światów: Wschodu i Zachodu. Achtung! Min niet! Kostrzyn, a obok Drzewice.

– Chłopy, zobaczcie co to za wioska tam za bimbrownią? – domaga się Ewelina, bo nikt nie ma już co dać maszyniście, żeby parowóz potoczył się trochę dalej w dzieje.

– Tu marna ziemia – odpowiadają mężczyźni, wróciwszy ze zwiadu. – Domy i sto-

doły solidne, murowane – nie takie jak u nas w Bogudzieńce ze słomy i gliny – uzupełniają. A w domach nawet pierzyny na łóżkach Niemcy pozostawiali, tak wiali przed Ruskimi. W obejściach maszyny rolnicze stoją gotowe do wyjścia w pole. Gdyby wiedzieć jak się z nimi obchodzić... – wdychają.

Pif! Paf! Piu! fiu!

Kule świszczą nad głowami! To poznaniacy zza płota. Chłopcy Roszakowej – starsi od nas o lat parę: Janek, Robert i Gabriel strzelają z polniemieckiej broni do butelek na dachu. Ewelina w popłochu zagania nas z podwórka do domu, gdzie pod siennikiem w łóżku ojca można namacać długie, ale uspijony karabin. Rafał twierdził, że dla własnej obrony go trzyma. – Niemcy tu po nocach buszują. – Przepływają łódkami Odry i próbują odzyskać pozostawione przez siebie skarby. Trzeba mieć, bo a nuż w drzwi załomotają...

Jedynie skarby, które później z ojcem znaleźli, to szabla zatknięta pod dachówkami stodoły, beczka niegaszonego wapna, zakopana w rogu podwórka i ścienny zegarek z kukułką, namaczany w dymniku kaflowego pieca. Nie liczę odkrytej pod podłogą pustej wybielonej piwniczki, bo pomimo solidnego opukiwania jej białych, ceglanych ścian, okazały się one głuche na nasze pukające wołanie o skarby.

Sezam

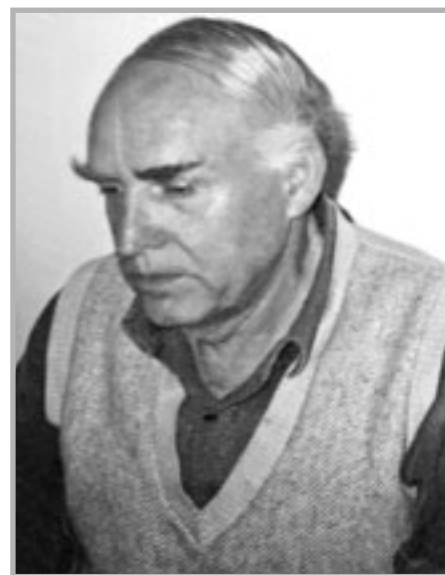
Skarb znaleźliśmy w naszym zapale do zajęć i w dookólnym „bierz co chcesz”. Rodzice chwycili za ziemię i dalejże tyrać na niej, pomagać jej poprzez zbieranie złomu i rozbieranie uszkodzonych w czasie wojny budowli. Sprzedaż złomu i tych cegieł oczyszczonych pracą w czasie rozbiórki. Cegły służyły odbudowie Warszawy i Poznania, złom wspomagał polską rudę przy wytopie pierwszej powojennej stali.

My – dzieci, chwyciliśmy się zapalu rodziców, pomagając im w najcięższych nawet dokonaniach. Kosa – zboże. Kilof – mur. Widły – siano – wóz – stodoła. Młotek do czyszczenia cegieł z tynku. Układanie cegieł po sto w stosie. Układanie na wozie. Układanie w wagonie. Zbieranie i wyciąganie spod gruzów, odkopywanie starego żelastwa. Ładowanie na wóz i wio do składnicy. Wspólny, codzienny wóz cegieł i drugi złomu. Obrządzanie trzody chlewnej, tej chrząkającej, kwiczącej, ryczącej, rżące i wszelkiej innej, by nie wymieniać.

To były nasze, pomieszczone w beczce sezamu codziennego życia, skarby najważniejsze, bo nie bardzo uświadamiane, a więc zwykle, więc nadzwyczajne.

– Ruszaj! – komenderuje ojcem matka.

– Wio, Deresz! – usiłuje wykonać rozkaz Rafał. Leczą Deresz, duży unrowski koń, ani myślący nadwyręzać puszkorki, łączące go z przeładowanym ceglami wozem. Rafał wywijając batem zdążył już nawet wypomnieć Dereszowi jego ogromną żarłoczność i że całą naszą



rodzinę puści przez tę przepustowość swojego żołądka z torbami przy takiej nikłej sile pociągowej.

– Pchajcie chłopcy – dopinguje nas Ewelina i sama chwyta rękoma za szprychy koła, by wytoczyć je z dołka. Podkłada cegłę i przy okazji palce do zmiżdżenia przez obręcz na kole. Krzyk matki rozdarł nam i koniowi uszy, ale wóz ruszył i potoczył się, nadzorowany co do kierunku przez ojca. Matka długo musiała moczyć te palce swoim ciepłym moczem, by doszły do sprawności i by móc znowu nam pomagać w męskich zajęciach.

Fura siana przywiezionego z łąk leżących w widłach Warty i Odry. Trzeba tę furę ustawić na wprost dużego wejścia na piętro stodoły, aby łatwiej było to siano podać do góry.

– Łodzik, weź za uzdę Deresza i doprowadź furę ze dwa metry dalej – poleca z poddasza stodoły ojciec. Łodzik usiłuje złapać konia przy pysku, ale ten się wyrzuca i odgryza bratu kawałek ucha. Kto by się przejmował w tamtym okresie zsyżowaniem strzępków ucha... Samo sobie na nowo ukształtowało małżowinę, jak ja tę rodzinną sagę, by dobrze, przynajmniej na jakiś czas, funkcjonować i dobrze słyszeć innych.

Niewinne nauk początku

Szkoła w Drzewicach ma cztery klasy, ale oddziałów siedem. Dwa korytarze, kancelarię, bibliotekę, dwa mieszkania dla nauczycielek, dla dzieci kuchnię do gotowania ryżu z mlekiem lub kakao. Duże podwórko z dwóch stron budynku z czerwonej cegły, ogródki, boisko i drewniane sławojki oraz murowaną drewnutnię. To wszystko tkwi teraz w mojej steranej nauką głowie.

– Co było pierwsze, kura czy jajko? – zadaje nam pierwszacom prowokujące pytanie jękający się ksiądz proboszcz na lekcji religii.

– Według mnie jajko – odpowiadam – bo z jajek wylęgają się kurczaki, a z nich za jakiś czas wyrastają kury i koguty.

– Głupiś! – krzyczy na mnie klecha. I stawa mi dwójce, bo na dodatek upieram się przy swoim zdaniu.

Odtąd zacząłem unikać religii, a i od nauki zrobiłem sobie dwutygodniowe wagiary. Stąd może wzięła się moja drugoroczność w tej pierwszej klasie. Choć matka twierdziła, że to dla lepszego poznania języka polskiego, bo władałem głównie ukraińskim, na jej prośbę pozostawiono mnie na cały rok w tej jakby kozie.

W drugiej klasie, chodząc jako ministrant z księdzem proboszczem po kołędzie, postanowiłem sprawdzić, co on wyczynia z tymi kurami, które otrzymuje od gospodyń. Czy maca je najpierw, jak moja matka, aby wybrać te z jajkami już prawie na wierzchu? Ze zdziwieniem w mroku kurnika dostrzegłem, iż proboszcz zamiast obojętnie jaką kurę, dokładnie obmacuje nieobojętną na to jego macanie, nadobną gospodynię. Tak się tym macaniem zmęczyli, że aż oparli się o ścianę, a gospodyni stojąc na jednej nodze, białe kołano drugiej uniosła wysoko do góry. Pewnie udaje kurę – pomyślałem – by ksiądz mógł ją w swojej wyobraźni ulepić doskonalej niż uczynił to Pan Bóg...

Matematyczka od czytania

Po południu, grając z chłopakami na boisku szkolnym w piłkę nożną, zostałem przywołany przez nauczycielkę matematyki. Kiedy po schodach wbiegłem na piętro, gdzie mieszkała, próg mnie zatrzymał oraz słowa:

– Masz tu pieniądze i przynieś chleba. Skwapliwie chwyciłem podane mi jakieś drobne i popędziłem do sklepu wiejskiego po rzeczony chleb. Zrozumiałem, iż matematyczka sama nie może wyjść, bo akurat siedział u niej leśniczy, też stary kawaler jak ona stara i surowa dla nas matematyczka, a dla innych panna. W sklepie byłem zazwyczaj raz w tygodniu, kiedy trzeba było swoje odstać w kolejce, aby kupić bańkę (5 litrów), bo więcej nie można było nafty do lampy, przy której kopącym światłem uczyłem się wieczorami i jedliśmy kolację.

Widocznie wróciłem zbyt szybko, skoro zastałem naszą panią siedzącą na kolanach leśniczego i tak zajęta całowaniem się z nim, że nawet nie zauważyła, jak ręką zadarł jej sukienkę do granicy ud i kolorowych majtek. Kiedy się zorientowała, że ja znowu w progu, z niekłamany piskiem przerażenia zeskoczyła leśniczemu z tych kolan i zmieszana, zapłoniona, chwyciła ze stołu pierwszą lepszą, ale już kolorową książeczkę, a wręczając mi ją dodała, że to w nagrodę za zakup i za to, że pewnie też potrafię szybko stąd wyjść, jak szybko i niespodziewanie wszedłem.

Oczywiście, że potrafiłem, a owa kolorowa bajeczka Juliana Tuwima pod tytułem „Słoń Trąbalski” tak mnie zachęciła do czy-

tania wszystkiego, co mi wpadnie w oczy, że wkrótce i biblioteka szkolna okazała się dla mnie zbyt mało pojemna. Nauczycielka też stała się jakby bardziej łagodna, nie kazała już klęczeć na ostrych kamyczkach gołymi kolanami, kiedy czegoś nie umiałem. Wyszła za mąż za owego leśniczego od grubej zwierzyny, a ja awansowałem na najlepszego ucznia matematyki. Dobrze jest na coś, lub na kogoś liczyć...

Na wyciągnięcie rąk

Bawiąc się z chłopakami od sąsiadów w chowanego, cały czas miałem zajęte ręce przede wszystkim ich starszą siostrą Zosią. Co ja do piwnicy, to ona i tam pcha mi się w dłonie. Co ja do stodoły na siano – Zosia ze mną leżakować w żdźbłach poczyną swoim ciałem okrytym kusą sukieneczką i moim spojrzeniem. Do dziury w stogu słomy – ona już tam rozcapierza nogi, jak ja palce, gdy mi się tak pomiędzy dłonie wciska. Chude toto, długie, a jakie wypięte na wszystkie strony, jak piskorz wyginające się prawie bezgłośnie jakimiś wgłębieniami nie do dojrzania, nie do zrozumienia.

Pasąc w deszczu krowy, schowała się ze mną pod dachem przejrzystej prawie na przestral szopy. Położyła się na słomie i mówi:

– Choć jesteś sporo młodszy ode mnie, to lubię cię, bo masz odważne ręce, nie takie znowu tchórzliwe jak twoi bracia. To popatrz sobie.

W tym momencie ściągnęła z bioder jakieś szare, bez wyraźnego koloru majtki, podciągnęła kolana i zachęcając mnie do położenia się obok wskazała na słomę.

– Kładź się, ona nie jest mokra, tylko wilgotna trochę. Weź w rękę to poczujesz.

Usiadłem, wziąłem jedną dorodną słomę, aby poczuć i począłem wodzić nią po gładkim wzgórzu, opadającym jakby dwoma pobludłymi wargami i rynną z jakimiś wyraźnie już zaznaczonymi falbankami ku niewidocznemu środkowi międzynoża. Ciągnę tę słomkę ku niewidocznemu, ale ciągle wzdłuż tej rynnoszparki, lecz nie wiedziałem co dalej. Moje ręce trzęsły się z emocji, a ja bałem się, że oczy zaczną mi latać, dostanę oczopląsu i zalałem się całym strachem.

Zosia uspokoiła mi to wszystko, wkładając swoją rękę w mój rozporek bez guzików, jak to u chłopaka – urwipolcia, a moją rękę, nie pamiętam którą – pewnie lewą, bom mańkutem, położyła na łonym łonie, jak to pięknie nazwała u siebie. W takim skrzyżowaniu rąk trwaliśmy pewnie długo, bo deszcz już przestał padać, a i my zmarznięci, zdolni byliśmy już tylko do myślenia o rozgrzewającym ruchu, to znaczy o popędzeniu podlegających naszej pieczy ogonów do ich wprawdzie sąsiedzkich, ale tylko obór. Nie ciepłych domów, gdzie my zamierzaliśmy się udać. Przynajmniej ja o tym marzyłem, nie wiedząc, co dalej z Zosią począć. A i ona pewnie nie wiedziała, co dalej, choć na pewno bardziej niż ja przeczuwała tę bliską

już chwilę doskonalenia się w łączeniu naszych nie pozbawionych ułomności i zalet ciał.

Buszujący pomiędzy snopkami

Młócenie zboża w dużej stodole za wsią. Poniemiecka młockarnia napędzana kieratem. Ten uruchamiany w kółko chodzącymi kofimi. Chłopiec siedzący na ramieniu kieratu, co jakiś czas dodawał koniom pędu strzelaniem z bata. Potem cisza; obsługujący młockarnię kazał zastrzymać konie. Zniknęła gdzieś para podająca snopki na skrzynię młockarni. Główny obsługujący nie ma pod ręką snopków, aby je wrzucać do bębna. Zboże nie sypie się do worków, słoma nie powiększa już stogu, a plewy przestały fruwać w powietrzu, zanim trafiały do zsypu.

– Gdzie się podziali? – wszyscy dopytują wszystkich. – Tylko widły zostały w sąsięku, którymi podawali snopy. – A to para bezwstydników! – Prawda, że narzeczeni, ale po co zaraz zakopywać się w jakiejś dziurze między snopami, skoro trzeba spieszyć się z robotą, bo sąsiedzi czekają na młockarnię. – Skoczcie no który i zaczniacie podawać znowu snopki: sięgniemy do spodu to i oni się znajdą.

– Wciórności jedne...

Chłopiec nadstawiał uszu i rozumiał, że wkrótce będzie we wsi wesele. Janka pobierze się z Frankiem. – Ale dlaczego chowają się z tym swoim miłowaniem pod snopami? – Po co przerywają robotę innym? Gromada się śmieje: – O już są! – wołają stojący bliżej sąsięka. Rechoczą: – Widłami ich w te gołe tyłki! – Wódkę i zakąskę szykować, a nie młócić się tu przy młóceniu! – udaje ktoś zagniewanego.

Oni jak gdyby nic; przyszła para młodych otrzepując się z plew i kłosów, poprawia na sobie przyodziewek i chwytając za widły, zaczynają kłóć nimi snopki w sąsięku następnym. – Przyparło ich – odzywa się pastuch, przygląd wiejski – to i nie czekali do wesela, a wódka i tak będzie, po młóceniu. Już zadba ją o to gospodarz z gospodynią, by ludzie i na drugi raz z ochotą przyszli do pomocy. Bo to o chleb chodzi i przyszły urodzaj – kończy jakos uroczyście swoją mowę pastuch, tak jakby nikt z tego nie zdawał sobie sprawy. Ani z tego co tutaj zaszło.

Przy studni

– Regina! – Co ty przy naszej studni się rozbierasz? – zagaduje Reginę moja matka, która nagle pojawia się na podwórku. Dziewczyna od sąsiadów zdążyła już zdjąć obszerne majtasy i rozłożyć je na trawie obok cembrowiny, kiedy zaskoczyła ją przy tej czynności Ewelina. – Boję się wracać do macochy – odpowiada Regina. – Muszę najpierw wyprać to z siebie, żeby nie czuć się tak zbrukana, jak jestem. I nie tłumaczyć się później przed macochą.

– A co się stało? – dopytuje moja matka.

Stoję w pokoju przy otwartym oknie i obserwowuję całą scenę. Grube i wielkie dziewczynisko polewa rozłożone na trawie majtki wodą ze studni, chwytając za kawałek szarego mydła,

leżącego na cembrowinie i klękawszy pociera nim ten ukształtowany na jej obszerny tyłek kawałek tkaniny. Sukienka tymczasem odsłoniła jej wszystko, co powinna mieć takich kształtów dziewczyna.

Regina szlocha i skarży się Ewelinie:

– Dostałam z Kostrzyna zaproszenie na założycielskie zebranie koła Związku Młodzieży Wiejskiej. – To poszłam. Po zebraniu wracałam do Drzewic przez las, tą krótszą drogą, co zwykle chodzimy do kościoła. Odprowadzał mnie założyciel koła, bo ponoć po drodze mu było zboczyć ze mną, udając się do niedalekiego Sarbinowa, gdzie mieszkał. W pewnym momencie usiedliśmy na wypukłości leśnej, a dalej to już niewiele pamiętam, taka gorączka mną zawiadnęła i on swoimi silnymi rękoma, przekonywującymi słowami aktywisty.

Obudziłam się z zaspania, kiedy już jego przy mnie nie było – cała zbrukana, brudna, oblepiona mrówkami. Przybiegłam tutaj, żeby się umyć i oprąć, bo macocha zaraz spyta, co się ze mną stało. A nie chcę jej o tym mówić. Regina wyżyma majtasy, wiesz że na cembrowinę, myje uda i krocze wodą czerpaną dłońmi wprost z wiadra, służącego do sięgania w głąb studni. Ewelina uspokaja ją pocieszającymi słowami o pierwszym razie: że to niekiedy tak bywa i że nie ma na to rady.

Gdzieś po dziewięciu miesiącach, Regina rodzi dorodnego chłopaka i nadaje mu imię owego aktywisty z Sarbinowa – Maciek. Aktywista nie może jednak przyznać się do ojcostwa swojego potomka, ponieważ od dawna jest już żonaty i wielokrotnie dzieciaty. Był już taki jeszcze przed poznaniem Reginy.

Regina wyprowadziła się od macochy, by zamieszkać w Kostrzynie. Maciek junior też został aktywistą, ale już Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Niecierpliwe, migotliwe obrazki

Julka. Starzy Mazurowie. Po prostu – Mazury, jak ich nazywali moi rodzice. I Mazurówna. Julka. Ta to dopiero mną rządziła:

– Witek, popilnuj, czy nikt nie idzie, bo mi się chce za węgiel.

Był wieczór, to słyszałem tylko szum strumyczka uderzającego o piasek, a latarnia chybocząc się oświetlała i zakrywała mrokiem stosowne półkrągłości. Ich dom stał przy zarosniętej trawie ulicy pomiędzy Drzewicami a Kostrzynem. Czekaliśmy na jakieś wydarzenie, ale poza zabawami w schludnym obejściu nic nam się nie przydarzało.

Wikta uczyła mnie pływać. Wyholowała na środek stawu i puściła: radź sobie z pływaniem jak chcesz. Pomyślałem – i zacząłem wiosłować do brzegu. Przedtem trzymałem się jej nogi, więc oglądałem tę nogę jakby od spodu i bruzdę toni, którą rozpruwała swoim czarnym kostiumem kąpielowym. Boć już była w miarę dorosła i obfita w kształty, choć jeszcze razem pasaliśmy krowy nad Odrą, zaraz za Celulozą na drzewickich łąkach upstrzonych

stawami i nami, wyrostkami z uprawianych w tej okolicy hektarów. (...)

Czesia. To była blond dziewczyna piękna jak z obrazka i starsza ode mnie niewątpliwie, choć razem jeździliśmy tym samym pociągami do szkół w Gorzowie. Pomimo mojego palącego ją, cieleńcego wzroku, zdołała zostać architektem i wyszła za mąż za brata późniejszego męża mojej chwilowej, właściwie kilkutygodniowej dziewczyny z Dąbroszyna. A zaczęło się z tym Dąbroszynem od rekolencji przedmałżeńskich dla młodzieży w Kostrzynie.

Po rekolencjach odprowadzałem ją do domu w tym Dąbroszynie, jakieś lekko licząc – pięć kilometrów w jedną tylko stronę. Z kolegą fryzjerem, który miał tam inną dziewczynę z rekolencji, wzięliśmy się na sposób i zaczęliśmy je odwiedzać, podążając do wsi na rowerach.

Kiedy już blisko północy, kończącej jakąś niedzielę, miałem dość tego ciągłego, bezskutecznego obściskiwania, od czego bolały mnie ręce, mojej pulchnej a niedostępnej Teresy i wsiadałem na rower, pojawił się obok mnie kolega fryzjer, by razem popedałować do Kostrzyna. On przodem – ja za nim. Za wsią w lesie, u stóp stromego i długiego podjazdu, wyskoczył ktoś z rowu i zatrzymał kolegę przodownika. Mając rower wyścigowy, nadepnąłem mocno na pedały, ominąłem ich i w try miga byłem już na górze. Dobrze, że uciekłem, bo to na mnie czekał przyszły małżonek mojej kilkutygodniowej dziewczyny, i to mnie – razem ze swoimi kompanami – chciał sprawić manto. Udało mi się ominąć ich również z tego powodu, że mój Favorit – rower wyścigowy – nie miał światła i po prostu nie widzieli mnie, oślepieni światłem pierwszego roweru, turystycznego.

Poszedłem do wojska i tak oto zerwałem z dzieciństwem, choć naiwnego, być może zbyt powierzchownego uwielbienia dla kobiet nie pozbyłem się jeszcze i przez cały wiek młodości, a nawet na starość jestem pod tym względem zatwardziały niepoprawnym dzieciakiem. (...)

Wejście w dorosłość

W wojsku, będąc już w Pile i mając stałą przepustkę na miasto, poznałem pewną pannę z miejscowego domu kultury. Właściwie to ona mnie zaczęła spacerującego po śródmieściu niedaleko jej domu.

~Co pan tak codziennie tu spaceruje?~ zadała pytanie, mijając mnie przed mostem dla pieszych na Gwdzie, rzeczce płynącej przez środek miasta i zaglądając mi przyjaźnie w oczy. Uśmiechała się chochlikami swoich oczu.

Rozmawiając i przekomarzając się weszliśmy na cmentarz miejski naprzeciwko koszar. Chodziliśmy po tym starym i rozległym terenie do zmierzchu, aż usiedliśmy na jakimś skrawku łączki. Dzieciaki dookoła bawiły się w chowanego, ale kiedy ściemniło się bardziej,

nagle znikły pozostawiając nas sam na sam z ciszą i poszumem liści drzew cmentarnych.

Odprowadziłem ją potem do domu. W jakiejś komórce żegnaliśmy się jeszcze chyba do północy. Prawdziwa ekwilibrystka; nie zdziwiło mnie więc, kiedy po latach dowiedziałem się, że została artystką cyrkową.

To był miesiąc miodowy naszej znajomości. Po miesiącu prowadzania się za rączkę, zostałem odkomenderowany do macierzystej jednostki w Mirosławcu. W Pile przebywałem pół roku, ale z Gizelą tylko miesiąc, za to jaki!

Po powrocie z wojska, w klubie literackim poznałem Elżbietę. Po tygodniu pojechaliśmy do moich rodziców w Kostrzynie, a tam wybraliśmy się wieczorem na zabawę wiejską w Drzewicach. Po powrocie z tańców, zastaliśmy przygotowane dla nas dwa złączone ze sobą łóżka. To oznaczało prawdziwe wejście w dorosłość: nie na niby, nie dla ciekawości czy przygody, ale na zawsze.

Zmierzch jesieni

Mam sześćdziesiąt lat i bardziej oglądam się za siebie, niż patrzę w przód. Przede mną trochę zieleniożółci i ogołoconych liści drzew, bezkres bieli. Moja wiosna to wnuki, początek lata w moich dzieciach, ja z żoną kończymy jesień, zima jeszcze w wyłącznym władaniu rodziców i dziadków. Dalej pamięć rodowa nie sięga.

Z drugiej strony – przeszłość już jakby mnie nie dotyczyła, przeżywam ją jakby kto inny, takie życie na niby. Zresztą – w kategoriach filozoficznych nigdy swego życia nie traktowałem całkiem serio, a jednocześnie – w większości przejawów istnienia angażowałem się bez reszty, prawdziwie. Dzisiaj jest mi to już obojętne.

Geny przejąłem i przekazałem następnym pokoleniom. Zostało czołganie się przez różne choroby, w miarę godne starzenie się, niegodna starość, agonia – ten ostatni orgazm cielesności. Potem to już jedynie pamięć bliskich – krótsza niż dłuższa.

Jestem częstką wszechświata i sam wszechświatem. Moi wnukowie odpowiedzą na zew kosmosu i zasiedlą go. Mój świat wewnętrzny przeistacza się w jakąś czarną dziurę. Pochłania mnie całkowicie nieistotna dotąd przeszłość. To już zmierzch jesieni. Ostatnie błyski ciepłego spojrzenia za siebie.

Wincenty Zdzitowiecki

O „młodziutkiej” poetce z Zielonej Góry jeszcze młodsza poetka z Gorzowa

Otrzymałam ostatnimi czasy do przeczytania tomik „młodziutkiej” poetki Katarzyny Kulikowskiej „Świat zawieszony na drzewie”. Ta wielokrotnie nagradzana już autorka wierszy (I miejsce w II konkursie poetyckim „Razem łatwiej” w Drezdenku, I nagroda w Turnieju Jednego Wiersza podczas „Nocy Poetów” w Zielonej Górze) urodziła się w roku 1975, a nadal mówią o niej „młodziutka”. Cóż, skoro ja jestem o rok młodsza, to zapewne też zaliczam się do grona młodych. Jednak moja dusza starą, a dusza Kulikowskiej – młodą. Młodą, a przez to dziecięcą – tak jawi mi się poprzez swoje wiersze. Wiersze skupione wokół marzeń, wyobrażeń, snów i baśniowych krain, jak choćby w wierszu o znamienym tytule „Elf”

*Dziewczyna była pełna
zielonych słów i uśmiechów
Myśli dziewczyny były piórami
Lekko tańczyły spadając na
ziemię
Wokół unosił się zapach różanego
kłamstwa
Była elfem
Ktoś powiedział – to nie bajka
Została zielonym wiatrem*

Większość wierszy ubranych jest przez autorkę w przymiotniki kolorystyczne, z wielkim umiłowaniem zielonego (koloru nadziei): „zielone powietrze”, „zielony kasztan”, „zielone kwiaty”, „zielona plama”. Wszystkie kolory to wyraz pewnej chęci dopowiedzenia, zaznaczenia, może nawet wielokrotnie zbyt liczne „turkusowe westchnienie”, „biała sukienka”, „niebieski kamień”, „czerwona plama”.

Pisząca nie jest jednak dzieckiem, gdyż drzewie w niej pożądanie, o którym stara się mówić w sposób do jakiego przyzwyczaiła nas Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Porównajmy dwa cytaty:

*Lecz niech on we mnie wnika
jak skrzypcowa muzyka*
(Zanurcie mnie w niego, M. P.-J.)

*Moje ciało jest muzyką
Pod skórą śpią nuty Zbudź je*
(Erotyk, K.K.)

Jest to próba udana, lecz nieoryginalna. Ducha Pawlikowskiej odnajduję również w pewnych słowach – kluczach. Choćby w wywołaniu przez Kulikowską słowa „batik” „Przepłyn przez batik światła” [„Kołysanka dla babci” K.K.].

Pawlikowska wielokrotnie sięgała po to wyjątkowe słowo „na rozrzuconych poduszkach z jawajskich batików”; „różnobarwne batiki” [„Erotyk” M.P.-J.].

Podobnie z nawiązaniem do Safony. Owszem, wiele wierszy powstało o niecodziennej Safonie, jednak w przypadku Kulikowskiej, niezwykle jej wiersz przypomina słowa Pawlikowskiej. Porównajmy:

*Poetka, samobójczyni,
Loki rozwiawszy fiołkowe
Nad wodą stoi
„Safo, co chcesz uczynić?”
„Chcę morze zarzucić na głowę
By nikt nie dojrzał też moich ...”*
(Róże dla Safony M. P.-J.)

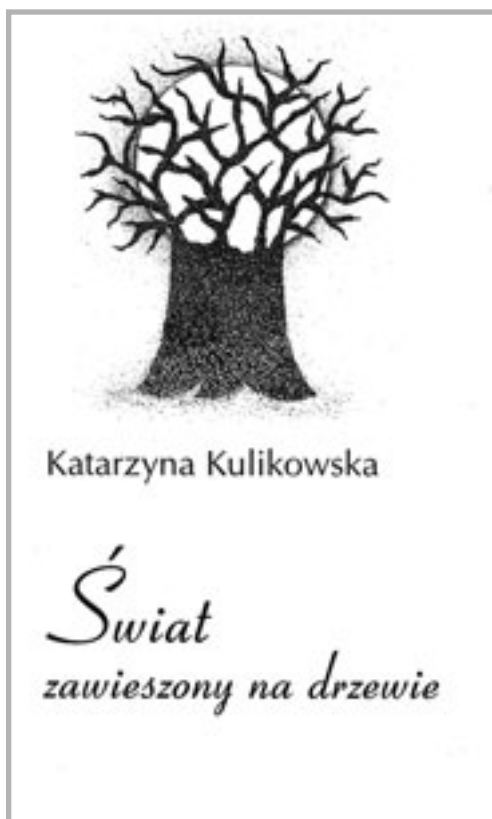
*Dziewczyna w turkusowym
westchnieniu lata
całuje usta zachodzącego słońca
Wie że kocha swoje marzenia
lecz nie może odejść od siebie
Przechadza się promenadą i
rozpływa w morzu*
(Safona K.K.)

Piszę o podobieństwach nie dlatego, by zarzucić „młodziutkiej” poetce plagiat. Nie! Pokazuję jedynie, że mimo upływu lat poezja Pawlikowskiej robi na nas wszystkich wrażenie. Jest uniwersalna i ponadczasowa. Należy się więc cieszyć, że młodzi sięgają po nią.

Osobiście najbardziej z tomu „Świat zawieszony na drzewie” podobają mi się wiersze „Natchnienie”. Jest mi bliski, bo właściwie w comiesięcznych odstępach czasu (z wyjątkiem sezonu ogórkowego) doświadczam opisanego przeżycia w Grodzkim Domu Kultury. I myślę, że to właśnie, jako jedyne, łączy mnie z omawianą „młodziutką” poetką.

*Natchnienie wchodzi po schodach
do domu kultury
pyta: Czy tu pisać wiersze?
rozmawia z poetami o
wiersza szeleście
zastanawia się chwilę
i znika*

Beata P. Klary



Każda przestrzeń potrzebuje korzeni i tożsamości. Jej elementem są także artyści, których twórczość stanowi tak o miejscu, jak i świadomości ludzi, którzy są jej kontekstem. Jest więc twórczość Ireneusza K. Szmidta w pewien sposób elementem krajobrazu tej ziemi, dosyć dziwnej, bo wciąż poszukującej swojej tożsamości. Tacy ludzie jak on przyczyniają się do tworzenia jej charakteru.

Poeta dwóch stron rzeczy (II)

Anna Czaja

Czytając poezję Ireneusza K. Szmidta, dochodzimy do wniosku, że można wyodrębnić w niej trzy najistotniejsze płaszczyzny, które wydają się być kluczem do zrozumienia jego twórczości. „Ja a przyroda”, która jest kontekstem dla rozważań Szmidta o ludzkiej egzystencji, płaszczyzna „ja a kobieta”, która wyraża określoną koncepcję bycia mężczyzny wobec kobiety. I sfera „ja a kultura”, ponieważ Szmidt wyraźnie istnieje wobec innych tekstów, toposów, motywów, twórców i tradycji literackich.

Te trzy relacje nie istnieją obok siebie, lecz wzajemnie się przeplatają, tworząc mikrokosmos poety.

„Ja a przyroda”

Wszystko, co wychodzi z ziemi, obdarzone jest życiem, a wszystko, co powraca do ziemi, na nowo życie uzyskuje¹⁾.

U Szmidta ziemia pojawia się wielokrotnie. Mówi o niej wprost – w tekście, w tytule wiersza. Ziemia jest obecna także i wtedy, gdy mówi o przyrodzie, tak jak w wierszu *Requiem*²⁾ (List z zimy, 17):

(...)
Na popiół trzeba zetrzeć kości,
wśród łodyg prędko go rozsypać,
bym nie mógł zdążyć swoich włosów
posiwić od nadmiaru bólu.

Na popiół trzeba zetrzeć kości,
przywołać śnieg, by skrył ich szarość,
ogłaszam dziś żałobę światłu
chmur czarnych urnę niosę.

Śmierć nie oznacza tu więc końca. Można jeszcze coś zrobić – prochy rozsypać, czyli oddać je ziemi. Można też mimo początkowej niechęci – *bym nie mógł zdążyć swoich włosów/ posiwić od nadmiaru bólu* – przyjąć ból, który podmiot liryczny początkowo odrzuca, ale przed którym nie ma ucieczki. Tak, jak i nie ma odwrotu przed dojrzałością, która pojawia się nieodwołnie po stracie bliskiej osoby. Dlatego Szmidt w tym wierszu nie jest konsekwentny i zmienia zdanie. W ostatnich dwóch wersach pisze: *Boże, ja klękam, ja Cię proszę, /zrzuć srebrny popiół na mą głowę* (srebrny, czyli siwy, a ten kolor kojarzy się z dojrzałością).

Tak jak nie jest w stanie przywrócić drogiej osobie życia i oddaje ją ziemi, tak i nie jest w stanie przyjąć cierpienia, i prosi Boga, aby to on zrzucił na niego ów ból.

W wierszu *Requiem* Szmidt „oddaje” ziemi prochy, ale na tym nie koniec. Bo oddawanie ziemi lub przyjmowanie przez nią czegoś, kogoś, to motyw, który kilkakrotnie pojawia się w jego poezji. I tak w wierszu *Podzwonne dla grudnia* czytamy:

Pod powalą gąbczastego nieba
z wyciśniętych z niego łez – kałuża
ziemia w siebie *wchłonać jej*³⁾ nie może
(..)
tak jest teraz z moim biednym krajem
co na boskie zmiłowanie czeka
przemoknięty do cna, pomijany
znów mu grudzień przez palce przecieka
(Sm, 99, Lp, 16))

Wchłonięcie przez ziemię oznaczałoby tu przejście ku czemuś nowemu, ku nowej jakości bycia.

Motyw ten pojawia się też w relacji mężczyzna – kobieta:

*Cała nie jesteś przy mnie
w dłoni twej jeszcze wiele chłodu
wiem*

*przyjąć go w siebie
nie zdążę.* (Sm, 68)

Ale i także dotyczy samego podmiotu lirycznego, co odnaleźć można w wierszu *Szkieł o ziemi* (Sm, 96):

(...)
*Ziemia moja
a przecież ufam, że odbierzesz chłód moim dłoniom*
(...)
*daj mi jeszcze kilka swych gościńców
chcę się ciebie nauczyć
na pamięć
wierzę tobie
jak wiośnie co roku
Lecz jak ona
Ziemia
Nie zawiedź*

Wydaje się, że w tym wierszu odnajdujemy, to coś, co złączyło Szmidta z naturą, coś, czego w niej szuka – co jest najistotniejsze – co przekłada i na swoje relacje z kobietami, ale też i co wykracza znacznie dalej – poza granice życia – bo przecież gdzieś w ziemi dokonuje się tajemnica przejścia do nowego życia. I choć u Szmidta nie jest ono określone, to wydaje się, że tkwi tu z całą mocą sacrum, a może tylko chęć spełnienia, wypełnienia?

„Ja a kobiety”

Gorzowski poeta na różne sposoby buduje wiersze. Są one dosłowne i symboliczne, opisowe i metaforyczne, obrazowe i aluzyjne, regularne i nieregularne⁴⁾. *Anno domini* (Cz,ZiM, 59), to wiersz o czasie i gra z czasem, słowami, aby wygrać i poprzez skojarzenia obrazami i zbieżność brzmień słów, kogoś, na kim oparta jest cała sytuacja liryczna wiersza.

Rozpoczyna się on w chwili, gdy podmiot liryczny pije piwo i patrzy na kogoś słuchając klawesynu: *Oczy spętane dźwiękiem klawesynu/ wyglądają w kufli od piwa/ jak dwa różowe rogaliki*. Do tego włącza się gra z czasem, bo jest *anno domini* godzina 20, która zaczyna rozgrywkę z godziną 21 – *godzina dwudziesta/ w ponurym dniu beztramwajowym/ zachowuje się jak fortepian w anno domini/ i gra z dwudziestą pierwszą w domini*. Klawiatura fortepianu przypomina więc kostki domino, a nazwa gry współgra brzmieniowo z łacińskim wyrażeniem *anno domini*. I w tym momencie dochodzi do przywołania kolejnego słowa, które podobnie brzmi jak *domini*, *domino*, a mianowicie słowo *dom*, które tym samym wywołuje w tym wierszu topos domu – w *anno domini/ domino/dom*. Jest to przy tym dom murowany, który jest oznaką trwałości, z dywanem na środku pokoju. Wnętrze domu zostaje porównane z włosami, czyli z czymś miękkim, ciepłym, pełnym czułości, bo jest to jak *oczy całowane rękami/ dom/ o jakim marzysz/ Anno*. Dom ten – ciepły i trwały, pozostaje w klasycznym ujęciu toposu domu, jak u Eliadego, przeciwstawiony z chaosem świata zewnętrznego. W centrum tego domu jest kobieta, a ona przez pragnienie tego domu, warunkuje go. Jednocześnie przywołanie imienia Anna w wołaczku koresponduje ze składnikiem wyrażenia *anno domini*.

Szmidt więc wykorzystuje w tym wierszu element zabawy – grę słów. Poprzez zestawienie wyrażenia *anno domini* – upływającego czasu, z domem – czymś zaciśniętym, ale zawieszonym w czasie, więc czymś stałym (?) i z dominem – grą, grą z przemijaniem (?) i Anną. Dochodzi do swoistego skumulowania przeżyć i odczuć, którego centrum wydaje się być kobieta. Dlatego też pewnie utwór ten zbudowany jest tak, że jego kompozycja przypomina odwróconą choinkę – na jej „szczyt” jest kobieta.

Johann Huizinga pisał, że zabawa jest czymś, dzięki czemu unicestwia się czas – a ten wiersz jest i wydaje się, że można tak stwierdzić, próbą zabawy, w której punktem dościa jest kobieta. Wiersz kończy przecież apostrofa właśnie do niej. Jest ona więc warunkiem, inspiracją i centrum. Dzieje się tak nie tylko w tym wierszu. Kobiety często pojawiają się w twórczości Szmida.

Poeta mówi o nich co najmniej dwojako – z jednej strony tak, jak o Annie, która jest kobietą bliską. Inaczej, aniżeli te z wrzosowisk i niewierne mężatki z erotyków. Bo te wchodzi jakby w ten brak, w to puste miejsce, jakie zostawiła owa Anna.

Jak traktuje Szmida kobietę z wrzosowisk? W wierszu *Wrzosa* (Cz,ZiM, 60) (przy czym już sam wyraz wrzosa jest kwiatem znaczeniowo nacechowanym i nie jest w kulturze obojętny; nasuwa skojarzenia choćby z *Wichrowymi Wzgórzami*, czyli najprościej mówiąc z namiętnością i gwałtownymi uczuciami), gdzieś na tle tych wrzosów bohater wiersza spotyka kobietę, którą nazywa *pszczołką*, a pszczoła, zauważmy, jest symbolem pracowitości. Jednak to on odnajduje ją i nazywa *pszczołą mego ucha*.

Podmiot liryczny ma więc roszczeniową postawę wobec świata. Wydaje się mówić: jesteś odnaleziona i tyle już zrobiłem, że mam do ciebie prawo – *Bo przecież czas po temu byś złożyła w grobie pająki/ swych niechęci (...)/ Wszak obrzędów godowych wypełniłem dosyć*. Podmiot liryczny zatem uważa, że już zrobił tyle, że to całkowicie wystarczy. Co ciekawe w wierszu tym nie ma mowy o jednoczeniu się kobiety i mężczyzny. Jest w nim tylko biologia i dążenie, by spełnić swój biologiczny rytuał. Bo kobieta bez wątpienia jest dopełnieniem tego żywiołu, jakim jest u Szmida natura, bo z niej wyrasta i zna jej tajemnice. Czy jednak Szmida na to się godzi? W *Podgryzaniu korzeni* (Cz,ZiM, 58) jawi się jako ten, który ma zupełnie inną wizję na tę, która *korzeniami jest mocno w ziemi*, która *lubi jeść/ pić z ziemi soki* i nie uspokaja potoku. Podmiot liryczny uzurpuje więc tu mówienie o tym, co jest ważne i co dobrze byłoby robić. Jakim prawem to czyni? Dlaczego chce podporządkować kobietę swojej projekcji? I dzieje się tak nawet mimo tego, że ma on świadomość destrukcyjnej siły swojej postawy. Podmiot liryczny tego wiersza wie, że zachowuje się jak kret, który podgryza korzenie – w efekcie więc niszczy i doprowadza do wiecznego rozmiłowania.

Jeżeli mielibyśmy wskazać pole znaczeniowe, w którym porusza się Szmida, określając przeżycia miłosno-erotyczne, wskazać można by tu słownictwo szeroko związane z kreacją natury, pejzażu. W wierszu *Wrzosa* (Cz,ZiM, 60) jest to *mrówka*, *wrzosom ukwiecona*, *sierpień polski*, *wrześniowe gody*, *leśne świerszcze*, *pająki*, *niebo*. W innych, np. wierszu *Szkic do mojego teatru* jest też *mech* czy *oczy ptaków* (Cz,ZiM, 61). Pojawia się też *rżysko*, *kasztanowa droga* (*Malowany erotyk* Cz,Zim, 64); *jeziora światła*, *pajęczyna dźwięków*, (Cz, ZiM, 63) czy *traw korzeni*, *parująca ziemia*, *żywica*, *kwiat* (Cz, ZiM, 65).

Szmida jest uwarunkowany rytmem przyrody, cyklem pór roku – *Akt* (Sm, 35). Tu też, jak w wierszu *Wrzosa* jest mowa o *dojrzałości sierpnia*, która jest przeciwstawiona zimowemu grudniowi, gdzie ciało zanika, jest tylko słowem i nie ma w nim tej całej zmysłowej obfitości, jaka jest możliwa w pełni lata. Jednak ta pełnia dzieje się nawet zimą – ukryta jest w ciele kobiety. Mężczyzna zna do niej klucz: *To ciało w grudniu/nagie/na kolanach/ofiarowuje mi/dojrzałość sierpnia/w którą się wgryzam/Sok cieknie po wargach...*

Jeśli mówi o kobiecie, to pojawiają się włosy, wobec których używa takich epitetów, jak *wesołe* (Sm, 68), *wiosenne* (Cz,Zim, 65; Sm, 37), *pszeniczne* (Sm, 56), *potargane* (Sm, 6), *złote* (KnT, 25). Są też *włosy z wiosennego deszczu* (Sm, 75). Jak bardzo są one istotne, można zobaczyć w wierszu *Ruda* (Sm, 64), w którym cała sytuacja budzenia się wzajemnej fascynacji rodzi się z *iskier, które rzuciła włosami*.

Ale włosy pojawiają się też, gdy mówi o ciepłym domu: z *dywanem na środku pokoju/ miękkiem jak twoje włosy* (Cz,ZiM, 59).

Zmysłowości kobiety uwydatniają podkreślane po wielokroć wargi. Podmiot liryczny mówi, że ukrywa ona w *wargach źródłanej wody smak* (Sm, 75). Wargi są też chłodne – *Położyła mój palec na swoich wargach/chłodnych wargach* (Sm, 71) i oczywiście *rozchylają się* (Sm, 60), tak jak i uda kobiety (Sm, 11); (Sm, 80).

Podmiot liryczny dąży do posiadania kobiety, co wyraża się w epitecie *cała*, *niecała*. I podobnie jak w osadzeniu kobiety w naturze

i biologii, o czym wyżej, epitet ten nie wnosi chęci uzyskania metafizycznej pełni. *Miałem cię niecałą* (Sm, 69); *Cała nie jesteś przy mnie* (Sm, 68); *Tak daleko jesteś/a tak blisko, że trudno wytrzymać/ by nie sięgnąć po ciebie całą/ myślą zuchwałą* (Sm, 56).

Wydaje się, że w podobny sposób rzecz dzieje się w opowiadaniu Szmida *Dziurawe sieci*, w którym bohaterami są rybak Krych, jego żona Ela i jej kochanek. I choć historia kończy się dobrze, Ela wraca do Krycha, jednak opowiadanie to pokazuje, jak bardzo są oni sobie dalecy, osamotnieni w swoich światach. Ela tęskni za *pocałunkami, których nie trzeba się brzydzić* (Krych ma oszpeconą twarz i wiecznie, z powodu swojego zawodu, czuć od niego śledziem), a Krych za stabilizacją – czyli kobietą, która jak jego matka będzie umiała naprawiać sieci – i za pewnością, że nie zostanie zdradzony. Samotność człowieka uwypukla wprowadzenie techniki różnych punktów widzenia.

Jednak językowo opowiadanie to zbliża się do literatury popularnej – wyjście z morza jest zbliżone do opisów zawartych w różnego rodzaju czytniach, np. *Krótką koszuła oblepiła jej ciało. Woda ściekała po cholernie zgrabnych nogach i u stóp tworzyła ciemniejsze otoczki piasku lub Ładnie wyglądały ich sylwetki na wysokiej wydmy. Stały tuż obok siebie, a za nimi księżyc*. Balansuje więc tu Szmida ryzykownie na granicy kiczu, co stanowi o pewnym dysonansie, jaki zachodzi tu pomiędzy problematyką a językową formą utworu.

O braku porozumienia między mężczyzną i kobietą traktuje też opowiadanie „Czerwone korale”, w którym Szmida celowo, jakby dla podkreślenia przepaści między dwojgiem ludzi „wyprowadza” Małego – zakochanego w Zuzannie chłopaka w morze, gdzie dochodzi do konfrontacji jego uczuć, z tym, co mówią o jego ukochanej jego koledzy. Dzięki temu zabiegowi Mały pozostaje sam – bez możliwości rozmowy z Zuzanną, czuje się oszukany, ośmieszony i w końcu popełnia samobójstwo. W opowiadaniu tym Szmida pokazuje też jeszcze jedną rzecz, tj. moc sprawczą języka. Bo przecież to słowa właśnie doprowadzają Małego do śmierci – słowa jego kolegów, które go przytaczają i niszczą.

Jeśli więc kobieta, to o długich włosach, rozchylonych wargach i oczywiście taka, która jest cała albo jeszcze niecała w posiadaniu mężczyzny, która oddala się, odchodzi w mgłę (Sm, s.57 i 75). Przy czym mężczyzna nie jest w stanie zrozumieć kobiety, wejść z nią w dialog: *Choć ojciec woleli wic witkę brzożową./ ja wierzę w pokorę. Ona czyni czary/(...)Kobieta niech kłamie, a ty po kryjomu obmyślaj świat ten dalej* (Modus vivendi – Sm, s.66). Czy zjednoczenie nie jest więc dla Szmida możliwe? Chyba nie, skoro nawet łańciński tytuł oznacza – współżycie oparte na tymczasowym kompromisie bez rozstrzygnięcia zasadniczych problemów spornych¹.

Szmida daje więc w ten sposób jakby przyzwolenie na naturę kobiety, decydując się jednocześnie na życie obok, z celami obcymi kobiecie, bo przecież to mężczyzna ma obmyślać świat dalej. Gdyby zestawili ten wiersz z cyklem z wcześniejszego zbioru „Wieczne mijanie” to uzyskalibyśmy pewną całość – Szmida czuje się skazany na samotność – tylko, że nie tyle boli go to osamotnienie we dwoje – bo, jak widać daje doskonale sobie z nią radę. Bardziej boli go stan, gdy faktycznie obok niego nikogo nie ma – jak, np. w wierszu *Samotność* z cyklu *Rejs niespełniony*:

musiał być sam
morze na falochronach
grało Piątą Symfonię

a wiatr
zasypywał uszy i oczy
i ślepy był
i głuchy
sam

(Cz, ZiM, s.35)

(dokończenie w następnym numerze)

1) M.Eliade, Traktat o historii religii, przeł. J. Wierusz-Kowalski, Łódź 1993, s. 247.

2) W niniejszej pracy wykorzystam następujące tomiki I.K.Szmida: *Kreska na twarzy*, Poznań 1961 (dalej KnT); *Człowiek, ziemia i morze*, Warszawa 1964 (dalej Cz,ZiM); *List z zimy*, Warszawa 1966 (dalej LzZ); *Spota milczenia*, Gorzów 1999 (dalej Sm). *Ludzkie pojęcie*, Gorzów 2005 (dalej Lp)

3) Podkreślenia moje – A.Cz

4) Literatura na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku, red. I. Iwasiów, E. Kuźma, Szczecin 2003, s.273.

5) Literatura na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku, red. I. Iwasiów, E. Kuźma, Szczecin 2003, s.273.

Jak dziwnie bywa z tą poezją!



Najciekawsze w poezji jest to, że potrafi być ona różnorodna. To banalne stwierdzenie broni się jednak w momencie, gdy sobie ową różnorodność uświadomimy. Bo przecież mamy do czynienia zarówno z poezją absolutną tzw. czystą, poezją konkretną – ukierunkowaną na grafikę, a pozbawioną treści, poezją kunsztowną z rygorystycznymi zasadami budowy, którym rzadko kto może sprostać, jak i z poezją kombinatoryczną opartą na działaniu maszyny czy z poezją lingwistyczną ukazującą możliwości języka. Każdy z odbiorców może więc wy-

brać spośród tak wielu realizacji. „Leitmotiv” Bartosza Piątkowskiego jest jedną z nich, nie należącą jednak do żadnej z wyżej wymienionych kategorii. To jeszcze inna próba zmierzenia się ze słowem.

Mam mieszane uczucia po przeczytaniu zawartych w tomiku wierszy. Po ciekawej szacie graficznej i interesującym opracowaniu edytorskim, zawartość merytoryczna mnie zawiodła, trochę rozczarowała. Owszem niektóre realizacje są interesujące, ale jednocześnie zbyt w sobie zasklepione, a przez to nudne. Pierwsze utwory w tomiku z cyklu autoportret nie wnoszą nic nowego. Są w nich dość często powtarzane chwytły typu *mam 23 lata* – sami wiemy kto i kiedy tak pisał. Te wiersze do mnie nie przemawiają. Powtórzę, że są zasklepione jedynie w wyobraźni autora, a szczątki słów jakimi raczył czytającego obdarzyć, nie niosą treści. Trawestując jeden z utworów Piątkowskiego – *ja nie zapierdalałem przy tych wierszach*. Owszem są w tomiku pewne interesujące próby choćby zobrazowania świata, jak ma to miejsce w słowach *staruszka łapie pogodę/na jesienne dni/ w słoik po konfiturach*.

Dekompozycja świata na jaką autor się zdecydował jest moim zdaniem zbyt daleko posunięta. Czy tak jest rzeczywiście, przekonać się może każdy kto po tomik sięgnie, choćby po to, żeby mieć o nim swoje własne zdanie.

Beata P. Klary

Bartosz Piątkowski urodził się w Gorzowie, wychowywał i nauki pobierał w Kostrzynie, a do Gorzowa wrócił na studia w Wyższej Szkole Biznesu. Od kilku lat mieszka w Zielonej Górze, ale nadal czuje się kostrzynianinem. Debiutancki tomik „niewypowiedziane słowo i nienapisany wiersz ...” zawiera wiersze powstałe w okresie między sierpniem 1997 a grudniem 2001. Wydany w 2002 r. przez Wzszą Szkołę Biznesu.

Tom „Leitmotiv” wydany został przez Kostrzyńskie Centrum Kultury w 2005 r.

Ostatnio Bartosz Piątkowski zdobył wyróżnienia: w prestiżowym konkursie poetyckim „Rozmówki polsko-polskie” w Brzegu oraz w XII Głogowskich Konfrontacjach Literackich zorganizowanych przez Głogowskie Stowarzyszenie Literackie.

W czerwcu 2006 r. jego wiersze z niewydanego jeszcze tomu „Tak idą sprawy” czytane są na antenie Radia „Zachód” w ramach Radiowej Książki Poetyckiej.



zadumałem się nad sobą

mam 23 lata
świat
wypadł mi z rękawa
na pobliski trawnik
na ławce w parku
myślałem o tym
wszystkim
co mi się nie zdarzy
przeszedł mnie dreszcz

* * *

rozerwana dusza
w dwie połowy
i serce
głowa
ponad światem wysoko
ręce w kieszeniach
moje zmysły oczyszczone z szaleń-
stwa
wróciłem do świata
wspomnień
uśpiony
z samym sobą
nie mam nic wspólnego

* * *

(z wierszy przeczytanych)
na noc w owczarach

irkowe z józkowiakiem
frankfurckiej koszuli darcie

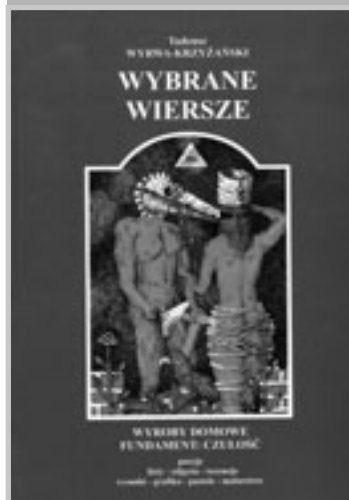
śliwowica dwie szklanki i ryż
wspólnie z patelni

przerwa na papierosa
w wędrownce w stronę wiatraków
przyjazny gest w chwili dany

na noc w owczarach reagują
tylko słowiki

zamykamy księżyc w kotłowni
do jutra

(Leitmotiv)



Tadeusz Wyrwa-Krzyżański

Poeta mieszkający w Pile, laureat nagrody Światowego Dnia Poezji 2006 przyznanej przez redakcję pisma „Poezja Dzisiaj” wydał obszerny tom (612 stron) „Wierszy wybranych” z podtytułem Wroby domowe, firma: czułość. Wydawcy: Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz i Wydawnictwo-Drukarnia „DIX” Włocławek, 2006 r.

Na tom złożyły się wiersze wybrane z 21 wcześniej wydanych tomów poezji oraz nowy zestaw - „Lustra Staszica”, z którego kilka wierszy prezentujemy poniżej. Część pierwszą książki dopełniają liczne recenzje i krytyczne omówienia tych tomów. Na część drugą składają się zdjęcia, listy, rysunki dokumentujące drogę życiową i twórczą poety. W sumie wyjątkowo obszerny, ale równie ciekawy tom twórcy mieszkającego „za miedzą”.

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański wyraził nadzieję na spotkanie z czytelnikami z Gorzowa.

Lustra Staszica

(fragment poematu)

Urodziny

Stanisław Staszic urodził się na początku listopada, w 1755 roku, w Pile. Rodzina była zacna, ale tonęła jak i inni w mieście położonym na bagnach Tu bywa tak, że nasiakają nim ludzie – każdy gest, to niestrudzona próba ratowania siebie. Całość zaś przypomina czarne zwierciadło – jeżeli coś można, to można odwrócić się, odejść i nigdy tu nie wracać. To szansa, jedyna, by nie dogoniła cię topiel.

Gdzie indziej będzie miał wolne do pisania ręce i głowę zajęta myśleniem o świecie, w którym wpuszczają go za jego mury.

A mógł tu zostać – mówić do obrazów i krajobrazów, i czekać na odpowiedź – od słupa

I mnie postawiono w tej sytuacji – w tej sytuacji widzę siebie: w odbiciu. Mnie – swoi, jemu tu życie odcięli, pochłaniający rzeczy, pióra i ludzi – Niemcy?

Jesień krzyczała w rozkwicie, urodziłem się rano, nad Rudnicą. Noteć i Gwda toczyły swe wody, w nich zmieniając słońca i gwiazdy – odbija się do dziś ten daleki i nie przebyty odbłask niebieskich chmur.

Mojej tajemnicy nie ma za nim, by jej dotykać raz po raz musiałem sięgać – dna.

Nie jestem tym szczęśliwcem, który na ślepo ufa i wierzy – ciągle od nowa wznoszę wieże Wiary Urodziłem się niejeden raz. Urodziłem się w niejednym mieście. Kwitłem nie dla siebie. Ale teraz umieram tutaj – każdy gest, w którym jest cegła i chleb, raz po raz okazuje się daremny i czczy. Rosną rzeźby z mydeł i kultura emerytów. Politycy zjawiają się dla klaskania. Nie ma mnie.

Ktoś steruje także telewizją. O, prowincjo zginiała; o, odbierane mi życie; otwierasz się dla mnie: labirynt niemożności - - - Stop-pstryk Żeby iść dalej muszę wiedzieć – gdzie i dokąd tu jestem.



Tadeusz Wyrwa-Krzyżański

urodził się 21 października 1947 roku w Kuźnicy Czarnkowskiej. Studiował na Wydziale Nauk Społecznych UAM i w Studium Kultury w Poznaniu. Jest także redaktorem technicznym i grafikiem.

Swoje utwory ogłasza w najważniejszych pismach literackich w kraju. Ostatnio w „Twórczości”, „Gazecie Malarzy i Poetów”, „Okolicy Poetów”, „Akancie”, „Gazecie Kulturalnej” i innych. Po „Don Juanie z Piły” w 1999 roku wydał w ostatnim czasie „Mosty z ognia” /2004/, „Meldunek ze zdobytego Miasta” /2004/ i „Wołanie z DNA” /2005/.

Ukazało się ponad trzydzieści jego książek poetyckich, prozatorskich i dla dzieci. Miał kilkadziesiąt wystaw (m.in. Sankt Petersburg. Warszawa, Kraków, Poznań, Leszno, Gorzów) i pokazów plastycznych. Ogłosił siedem tek graficznych. Jest także ilustratorem.

W roku 1972, wspólnie z prof. Norbertem Skupniewiczem, zdobył Nagrodę Ogólnopolską za program pt. „Wernisaż do góry nogami”.

Otrzymał m.in. Nagrodę Roku 1977 redakcji „Ziemia Nadnotecka” (1978), nagrodę ZG ZLP im. Wilhelma Macha (1979), Medal Nowej Sztuki (1980), nagrodę im. Stanisława Piętaka (1984), nagrodę „Czerwonej Róży”, Pierścień (1987) a także Nagrodę II stopnia Ministra Kultury i Sztuki (1989).

Jest laureatem nagród wojewódzkich. Dwadzieścia lat temu dostał Srebrny Krzyż Zasługi. W roku 2004 przyznano mu odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Kamienie

Ograniczenie poddaństwa jest warunkiem rozwoju kraju. Trzeba pozbawić praw – gołotę. Bo to sprzedajny element. Obowiązywać mają bulle papieskie, które uzyskały akceptacją władz kraju. Trzeba też ograniczyć prawa kościołów. Nad kodeksem pracuje Chreptowicz, Węgliński i Rogalski. Redaktorem jest Józef Wybicki wezwany z Pomorza. Ścisłe z nim współdziała eks-kanclerz. Z komisji usuwa się biskup płocki Szembek. Na sejmie jednak depcze się i drze ten kodeks.

Dzieło potępiono bez zaznajomienia się z treścią. Tryumfuje ugodzona zasada złotej wolności szlacheckiej. Przecież musi funkcjonować gospodarka pańszczyźniana.

I za następnym rogiem ulicy – przepaść. Płaskie lustro ludzi – bez węgielnych kamieni, bez korzeni. Trudno spotkać człowieka podającego rękę.

Idąca ku mnie pomoc, którą przed wojną miano by tutaj za obowiązek, najwidoczniej utonęła

wśród swoich i w grząskim terenie.

Ale – myślę sobie – może z tego chociaż ktoś inny, jeden, będzie miał kiedyś fundament.

Ja na razie i na zawsze, mam tu mieć usta pełne kamieni. Innym artystom odmówiono nawet tego.

I oto przemieniam się w więzienną wieżę, niosę swe ciało na pokaz – na poniemieckich ziemiach zbędne jest polskie piśmiennictwo, polski poeta także. Lecz przecież ja piszę – bezstronne świadectwo. I to, naturalnie, jest do przetłumaczenia.

Mam nadzieję, że w końcu odnajdzie mnie stosowna osoba i język.

Oto, gdy teraz mówię, z moich warg toczą się podwaliny i schody. Trzepocze żołądek i kieszenie. Przychodzą jeże i szczury, łaszą się jaskółki i strumienie.

W mieście jest spokój

W domu kultury – spotkanie autorskie za spotkaniem, ale da się je policzyć na palcach jednej ręki.

Najczęściej poeta jest ten sam

i jeden. Bo to zależy, że on tam jest, od jednego.

Cóż, nie udało mu się w gospodarce, teraz bryluje, dając nam rzadko jakąś znaną i obcą sztukę – najczęściej słyszy się: usta milczą, serce śpiewa. Ach, i dlatego tam nie zachodzę. Ziewam. Zaś w trzy pierwsze majowe dni, pełne rocznic i obocznic, policja mogła nawet napisać: w mieście jest spokój. I to nic, że w sąsiednich miasteczkach, co sobotę lub w niedzielę – impreza. Tu: w mieście jest spokój. Najpewniej z tego cieszą się miłujące siebie władze.

W mieście jest spokój. Nikt zaciśniętymi pięściami nie klaskał, nikt zalepionymi ustami nie krzyczał. Mówią, że mogliśmy tu się zabawić od maja, aż do września, ale te pieniądze w trzy dni zjedli tenisiści.

Mało kto ich widział. W mieście jest spokój. Przecież od czasu do czasu, prezentują się nie tylko nasi artyści.

Potrzeba zmian wewnętrznych. Silne podejrzenia budzi alians z Prusami. Silne państwo, z silną armią chce wiązać się ze słabą Polską. Sprzeciw budzi także oddanie Gdańska i Torunia. Autor zyskuje popularność w kręgu szlacheckich reformatorów. Łatwiejsze jednak są kontakty z wykształconymi mieszczanami. W stolicy spotykają się delegaci miast królewskich.

Po którymś razie organizują, czarną procesję. Obok Zamku Królewskiego i Kuźnicy Kołataja – Ratusz Miejski uzyskuje swoją pozycję. Ale tymczasem bohater rusza w zagraniczny wояж. Trasa wiedzie przez Kraków, Wieliczkę, Brno do Wiednia. Mija kraje habsburskie, zmierza na Półwysep Apeniński. Trzeba ratować zdrowie sędziwego eks-kanclerza. Tak, ale Staszica zajmuje – wszystko. Rolnictwo, przemysł, handel. Budowle, uniwersytety, księgarnie. Zakłady i targowiska. Zwyczaje i obyczaje. Góry i zjawiska fizyczne. Zapisuje to w „Dzienniku podróży”.

I drzewa ogryzać

Trzy lata w Paryżu. Ojciec wcześniej dokonał podziału majątku. Jest typem swojej epoki - ksiądz ma racjonalny sceptycyzm, wobec prawd objawionych. Pieniądze, dla powiększenia majątku i zabezpieczenia wояжу powierzył poznańskiemu Żydowi Żeligowi Ajzykowi.

Był w Lipsku, był w Getyndze. Pozostawił ich senność. Olśnił go Paryż. Wszystko jest w nim okazałe. Ruch jest wielkomięski. Zamożne warsztaty, bogate sklepy. Dzieła Woltera, Diderota, Holbacha ~ wywołały ferment umysłowy. Och, świeże listki nowych idei filozoficznych. Och, ten kwitnący ruch wydawniczy. I to ogólne głoszenie myśli o równości ludzi. Nękanie religii, Kościoła, władzy absolutnej i przywilejów duchowieństwa i szlachty. Gasną salony arystokracji, powstają kluby sympatyków określonych przekonań i kawiarnie. Można w nich czytać. Kwitną biblioteki. W tym się odnalazł.

Od ponad dwudziestu lat zacząłem umierać w Pile. Myślę, że są takie miasta, których burmistrz przejmuje się wierszami i autorem. Tu ani złotówki nie dano mi na moje książki, władza umywa ręce i zajmuje się swoimi sprawami i kieszeniami. Tak przecież powstają hipermarkety, z których zyski wyciekają za granicę. Najwidoczniej sobie na to zasłużyliśmy. Ale to ja - i dlatego jestem wolny, i mogę jeść moje ulubione śledzie. I patrzeć. I widzieć: biało-czarne nożyczki jaskółek, odbite w srebrnych oknach murów, postawionych i postanowionych na grzędawisku jak mały Sankt Petersburg. Cóż, władca nie dorósł do roli Piotra Wielkiego, a ci, którzy nic nie mogą, czyli niewolnicy wolności, schodzą z tego świata w samotności i po cichu. I po co się trudzić pytaniem: co ich boli. Nikt tutaj nie chce zasłużyć sobie na pozostanie w Historii, każdy przyszedł znikąd, i ma odejść donikąd. Na nic gorące modlitwy do Nieba. Na razie mogę - i drzewa ogryzać z kory. Nie jestem podnóżkiem, jestem zbędny stopień. Nadal żyję. Jestem sam.

Niebo dla akrobaty

Szerokim echem odbiła się w Gorzowie promocja książki Jana Grzegorzczaka pt. „Niebo dla akrobaty” wydanej przez Wydawnictwo „Znak”, która miała miejsce 10 lutego 2006 r. w sali Galerii BWA w Miejskim Ośrodku Sztuki z udziałem autora i wielu zaproszonych gości. Szczególne uprzywilejowanie naszego miasta w wejściu tej książki na rynek miało uzasadnioną przyczynę: tu autor znalazł inspirację do napisania tej książki.

Jan Grzegorzczak jest publicystą, pisarzem, autorem scenariuszy, tłumaczem, od 1982 r. redaktorem dominikańskiego miesięcznika „W drodze”. Napisał kilka książek przybliżających problemy religii, a także dwie cieszące się dużym zainteresowaniem czytelników powieści: „Adieu. Przypadki księdza Grosera” i „Trufle. Nowe przypadki księdza Grosera”.

Do Gorzowa zaprosiła Jana Grzegorzczaka siostra Michaela Rak, faustynka, która od kilku lat prowadzi Hospicjum św. Kamila. Zaprosiła, by opowiedzieć o ludziach, którzy w hospicjum kończą życie i o tych, którzy im pomagają przekroczyć próg śmierci. Na Hospicjum składają się: Oddział Stacjonarny (17 miejsc), Poradnia Leczenia Bólu, Oddział Rehabilitacji, Hospicjum Domowe, Hospicjum Dziecięce oraz Dom Dziennego Pobytu (30 miejsc). Co roku z różnych form opieki hospicjum korzysta ok. 1000 osób. A każda osoba to indywidualny, ciekawy los, to indywidualne przeżywanie śmierci. Podopiecznymi zajmuje się ok. 20 wolontariuszy i ok. 65 osób wyspecjalizowanych w niesieniu pomocy: lekarze, pielęgniarki, psychologowie, księża, salowe, masażysty, a nawet kierowcy.

Jan Grzegorzczak spędził w Gorzowie parę tygodni. Był z chorymi, obserwował pracę zdrowych, długo rozmawiał z jednymi i drugimi. Z tych rozmów zrodziło się 10 opowiadań, które złożyły się na tom „Niebo dla akrobaty”. Co ciekawe, ich głównymi bohaterami są ludzie zdrowi, opiekunowie chorych, ale tematem zasadniczym – moment przejścia granicy między życiem a śmiercią. Ten moment jest trudny dla każdego, ale opiekunowie są po to, aby pomóc go pokonać, dodać otuchy, uspokoić chorego, pomóc załatwić wszystkie sprawy dotąd niezłatwione.

Promocyjne spotkanie prowadziła siostra Michaela. Sala została atrakcyjnie udekorowana jakby trapezami cyrkowymi, na których powieszono okładki książki. Przyszło bardzo wiele osób związanych z hospicjum, zainteresowanych nową książką lub po prostu ciekawych. Siostra Michaela mówiła o okolicznościach powstania „Nieba dla akrobaty”, Jan Grzegorzczak, o tym, co zobaczył i jak przyjął hospicyjną ideę i pracę. Fragmenty opowiadań czytał aktor - Mieczysław Hryniewicz. Było to ciepłe i dobre spotkanie, które promowało nie tylko książkę,



ale postawę wobec śmierci i trud ludzi pomagających przekroczyć ten próg życia, i śmierci.

10 opowiadań napisanych jest z perspektywy zakonnic lub ludzi świeckich związanych z hospicjum. Bohaterami głównymi są np. chłopak, który tam postanowił uciec od służby wojskowej, pielęgniarzka, która chce wypocząć i w tym celu wyjeżdża do Chorwacji, ale tam także trafia na ciężko chorych i nawet ich przywozi do Polski, itp. Są tu także chorzy z różnych środowisk, o różnym statusie finansowym, różnie przeżywający chorobę. Tych łączy wspólny los. Umierają. Ale

zdrowi, jak potrafią, pomagają im w tych ostatnich chwilach dobrym słowem, trzymaniem za rękę, rozwiązując sprawy nieskończone w rodzinie lub środowisku.

„Niebo dla akrobaty” jest z pozoru książką łatwą: dobrze, sprawnie opisane losy ludzi umierających zawsze rodzą współczucie. Ale nie tylko o współczucie tu chodzi. Autor podpisuje się pod postawą sióstr ze Zgromadzenia Jezusa Miłosiernego, że śmierć wymaga pomocy i że siłą do jej przyjęcia może dać tylko drugi człowiek. To książka bardzo ważna nie tylko dla pacjentów hospicjum, nie tylko dla chorych, ale dla wszystkich, bo nikt nie jest wieczny.

Choć książka powstała z inspiracji gorzowskiego hospicjum, nie ma tam bezpośrednich odniesień do Gorzowa. Być może osoby bliskie hospicjum odnajdą więcej śladów im znanych, ale zwykły czytelnik tych opowiadań nie zobaczy tam miasta. Jedno opowiadanie, pt. „Żeby się ludzie pośmiali...” dedykowane jest Szymonowi Giętemu, postaci znanej w Gorzowie, legendarnemu kloszardowi. Podobną do niego postawę w stosunku do życia zajmuje jeden z bohaterów, ale na tym czytelne związki się kończą. Taka organizacja narracji dała autorowi możliwość przeniesienia problemów w sferę uniwersalną, jako że śmierć jest uniwersalna.

Krystyna Kamińska

Jan Grzegorzczak

Żeby się ludzie pośmiali

Pamięci Szymona Giętego

Położyłem ich w jednej sali. Kloszarda i byłego prominenta, ostatniego komunistę z przekonania.

Franek Skrzypek – włóczęga, symbol miasta. Właściwie nazywał się Kruk, o czym przypomniałem sobie, biorąc do ręki jego wyświechtany dowód osobisty. Był jednym z nielicznych autorytetów, jakie uchowały się w czasach ich powszechnej erozji. Chodzący pomnik. Swego czasu sprzedawano jego wizerunek jako widokówkę - najbardziej charakterystyczny miejski „obiekt”. Od zawsze wyglądał jak dziad, choć kiedy po wojnie pojawił się w naszym mieście, miał niecałe czterdzieści lat.

Andrzej, wolontariusz, wykapał go i ogolił. Po tym zabiegu nikt nie rozpoznałby słynnego kloszarda. Odarty z łachmanów,

bez brody, okularów i skórzanej pilotki. Nie można go też było rozpoznać po charakterystycznym kaczym chodzie i zgarbionej sylwetce. Od paru tygodni był przykuty do łóżka z powodu raka kręgosłupa. Co z niego zostało? Czy to naprawdę był Franek Skrzypek, czy wieszak, z którego zdjęto rzeczy i położono do łóżka? Na szyi miał woreczek z jakimiś skarbami, którego nie pozwalał zdjąć nawet w czasie kąpieli.

Nazajutrz Franek zażądał gazety.

– Muszę się dowiedzieć, czy nie dzieje się na świecie nic przykrego... - Zatopił wzrok w płachcie wytatuowanej drobnym maczkiem. Bez okularów. Andrzej zdębiał. Nikt nigdy nie widział go bez okularów, grubych jak denka od butelek.

– Panie Franku, to jakiś cud. Pan czyta bez okularów.

– Ee - rozpromienił się, pokazując bezzębne dziąsła.

– Tak nosilem, żeby się ludzie trochę pośmiali...

Kątem oka zauważyłem, jak Brodak dyskretnie obserwuje swego sąsiada.

Imaginacje na wiele sposobów

Język poezji jest specyficzny. Każde słowo, wers zdają się być kluczem do odszyfrowania tajemnego kodu, zamysłu poety. Żonglując słowami potrafi sprawnie, elegancko, niekiedy dosadnie poruszyć każdy temat. Mało tego! Dotrzeć do człowieka bardziej niż najmyślniejsze artykuły naukowe. Poeta zmusza do myślenia.

Cieszę się, że ponownie mogłem pomyśleć nad słowami Beaty P. Klary. Jej drugi tomik poezji *Imaginacje* to potwierdzenie talentu i osobowości poetki. Ma własny styl, nie kopiuje słów minionych epok.

W *Imaginacjach*, podobnie jak w poprzednim tomiku, odwołuje się do twórczości holenderskiego malarza Vermeera van Delft. Podobnie jak jego obrazy, wiersze Beaty mają w sobie wiele ciepła, najgorętsze opowiadają o jej synku i miłości, jaką go obdarza: „niech tam będą kwiaty, fortepiany, oklaski... mnie poezja ust twoich synku – najcenniejsza.”

Dziwi się także okrucieństwu rodziców wobec swoich dzieci, małych, bezbronnych, niewinnych: „Pisali dziesięciomiesięczny pobity przez ojca namoczonym pasem(...) / Piszę mój słodki trzynastomiesięczny pieszczony matczynym spojrzeniem(...)”. Te słowa trafnie definiują cały bezsens przemocy doświadczanej przez malutkie dzieci. Wiersz, choć na pozór prosty, jest bardzo emocjonalny. Czytając go zmarszczyło mi się czoło ze złości i cisnęły łzy do oczu ze wzruszenia.

Miło mi, że spotkałem poezję idealną na spacer, kiedy w parku nastaje półmrok. Doświadczyłem chwili kontemplacji, obserwując niedobitki parkowych gości. Na przekór słowom wiersza *Duszny wiatr* – „nazwijcie swoją głębię sami jak czucie”, zrobiłem to u innych, analizowałem osobowości, nazywałem ich wnętrza, (być może ze strachu przed własnym). Konsekwencją przeczytania *Dusznego wiatru* może być zastanowienie się nad sobą, odkrycie jakiejś wewnętrznej tajemnicy, do czego zachęcam.

W przypadku *Odarte go człowieka* gdzie „przytula nas ciemność / ramiona wiotkie wzywają do drogi” Beata pisze o człowieku, który jest o włos od samobójstwa. Tłumaczy mu, że nawet jeśli ucieknie śmierci, to przeszłość pozostanie i będzie musiał rozprawić się z nią. Nie rozczarowałem się słodzeniem, że będzie lepiej – to ważne, bo pocieszającej słodczy w poezji jest już dość!

Kilkakrotnie, późnym wieczorem, wracałem do słów: „Czasami warto byłoby umrzeć tak na moment z możliwością powrotu do żywych”; „ten motyl skrzydlaty co bezwzględnie prowadzi w z-a-ś-w-i-a-t-y” oraz „ledwo się trzymasz myśli że warto żyć choć już odarte pozostaną chwile.” Te rozważania nad śmiercią, wywołały u mnie, niepohamowane wrażenie przeżyć osobistych autorki. Odbieram to jako współodczuwanie... ilu z nas nie miało choćby raz podobnych myśli? Śmiem przyznać, że taki stan bywał niezwykle inspirujący.

Znalazłem także gromadkę utworów, które poznawałem przy gorącej kawie, siedząc na miękkiej sofie, tuż przy oknie. Kawiarniany zgłęb jak posłużył jako tło. Wtedy zgłębiłem tajemnice *Nautilusa*.

Mali chłopcy pytani o to, jacy chcieliby być w przyszłości, najczęściej odpowiadają, że jak Spiderman albo Hellboy. Dorosli mogą nie kojarzyć niektórych postaci, jednak, jak stwierdza autorka, czasem nawet nazwa bohatera, może być motywacją,

aby stać się kimś takim. *Nautilus* kojarzy się z wyznaniem dziecka, które dużo rozumie, ale zło w praktyce jest mu obce. Pomyślałem – jak wspólnie byłoby być Piotrusiem Panem!

Sącząc kolejne łyki stygnącej już kawy napotkałem odpowiedź na *Zagadkę tworzenia*. Okazało się, że nie tylko mnie boli fakt ignorowania talentu, że dopiero „Po śmierci – wtedy przyjdzie sens.” Naprawdę nie rozumiem lawiny braw i orderów dla kogoś, kto już nie żyje. Wpychanie do podręczników słów zmarłego, podkreślając jego niezwykłość, którą „mądrzy ludzie” zrozumieli dopiero po jego śmierci. Doceniajmy zdolnych, których mamy wśród żywych, dajmy motywację do tworzenia, utwierdzajmy w tym, że ich praca jest potrzebna.

Kolejne strony tomiku przyniosły kilka religijnych wzmianek: „strumień światła utworzył schody do nieba a ON cały twój stanął na stopniach jasności. Albo ważne słowa pocucia odpowiedzialności duchowej „nie spłacę długu jaki zaciągnął świat w Jego łagodnym obliczu w Jego uśmiechu”. Kilka wersów poświęciła papieżowi Janowi Pawłowi II, krótko podkreślając jego najważniejsze cechy: „nie obrzydl Ci żaden grzesznik nawet kulą częstujący”. Wielu, którym Jan Paweł II był bliski sercu, spodobać się wersy typu ku pamięci.

Z kolei czytając *Zdziwienie*, sam zdziwiłem się, że o poranku można mieć tak głębokie przemyślenia „o tym, że czas trawiać innych ludzi mnie daje szansę Zdziwienia raz kolejny tym miastem.” Jestem pełen podziwu, ponieważ pokonując poranne bariery, zapewne wielu mogłoby tworzyć mniej cenzuralne utwory, które byłyby z pewnością znikomo poetyckie.

Natomiast w wierszu „Uwaga na marginesie rękopisu” nie zdziwiło mnie przykłaśnięcie twórczości Kazimierza Furmana, który nie szczędzi szczerości oraz – niewątpliwie - pozostanie ważną postacią gorzowskiego świata literackiego. Myślę, że wydając tomik, ważne jest, aby wspomnieć także o innych. Beata popełniła również wiersze pamięci księdza-poety Jana Twardowskiego, papieża-poety Karola Wojtyły, Walta Whitmana i zmarłej niedawno koleżanki-poetki Marii Przybylak.

Ponad 30 utworów z tomiku *Imaginacje* zostało przetłumaczonych na język angielski, co jest bardzo ciekawym zabiegiem zastosowanym m. in. przez Wisławę Szymborską w tomiku *Chwila*. Okładka *Imaginacji* również zasługuje na zastanowienie. Dwie zmyśnione, symboliczne postacie siedzące przy stoliku z nijakim widokiem za oknem – już sam ten obraz wydaje się być poezją.

Tomik Beaty P. Klary to porywająca i inteligentna, a zarazem lekka lektura o różnej tematyce, na różne nastroje.

Marcin Słowiński



Beata Patrycja Klary. *Imaginacje. Imaginations* (wiersze), str. 80, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenal” w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, Gorzów 2006.



W kwietniu 2003 r. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna rozpoczęła realizację cyklu polsko-niemieckich sesji popularyzacyjnych pod wspólnym tytułem „**Nowa Marchia – prowincja zapomniana – wspólne korzenie**”. Spotkania mają na celu popularyzację dziejów naszego regionu poprzez odniesienie do ciągłości historycznej ziem Polski Zachodniej oraz stworzenie forum pozwalającego na prezentację wyników badań uczonych i regionalistów, jak również konfrontację poglądów polskich i niemieckich badaczy na temat historii Nowej Marchii.

Wszystkie referaty przedstawione podczas sesji publikowane są w Zeszytach Naukowych WiMBP w Gorzowie Wlkp. pod tym samym tytułem. Pierwszy numer Zeszytów ukazał się w 2004 r. i zawiera materiały z dziesięciu sesji, które odbyły się podczas pierwszej edycji. Zeszyt otwiera tekst prof. **Edwarda Rymara** z Uniwersytetu Szczecińskiego, *Nowa Marchia - kraina zapomniana? Stan badań nad średniowieczem*, poświęcony zdefiniowaniu pojęcia Nowej Marchii, dorobkowi polskiej i niemieckiej historiografii, potrzebom źródłoznawczym, badawczym i wydawniczym oraz kwestii konieczności i możliwości powstania w Gorzowie ośrodka koordynacji i dokumentacji badań nad historią Nowej Marchii. Kolejne opublikowane materiały to teksty wykładów **Kazimierza Korpowskiego**, *Zasiedlenie Ziemi Gorzowskiej po 1945 roku*; **A. Miśkiewicza**, *Tatarzy Ziem Zachodnich*; **M. Mirosława Pecucha**, *Przesiedleńcy w ramach akcji „Wiśła” na Ziemi Lubuskiej*; **Jerzego Zysnarskiego**, *Dzielnica landsberskich Żydów*; **Macieja Dudziaka**, *Od osławiania krajobrazu kulturowego do kreowania nowej tożsamości kulturowej*; **Zbigniewa Czarnucha**, *Polsko - niemiecka przeszłość postrzegana przez pryzmat historii rodzin i małych ojczyzn jako płaszczyzna przezwyciężania uprzedzeń zrodzonych przez dzieje stosunków między państwowych*; **Piotra Krzyżanowskiego** i **Grażyny Pytlak**, *Wpływ akcji osiedleńczej na kulturę Romów*; **Jerzego Sygneckiego**, *Sytuacja społeczno-polityczna w Gorzowie Wlkp. w latach 1918-1945*.

Materiały z sesji niemieckojęzycznych opublikowane zostały w kolejnym numerze zeszytów, który wydany został w 2005 r. w wersji dwujęzycznej, polsko-niemieckiej. Poszerzyło to znacznie krąg odbiorców. Około 1/4 nakładu rozeszło się na terenie Niemiec, trafiając do indywidualnych nabywców oraz bibliotek m. in. do Staatbibliothek w Berlinie. Układ dwujęzyczny zachowany został w następnych numerach.

Zeszyt Naukowy Nr 2 zawiera teksty **Christiana Gahlbecka**, *Tak zwana Nowomarchijska Księga Ziemska margrabiego Ludwika Starszego z 1337 roku. Studia nad podziałem terytorialnym i przekazem historycznym*; **Armina Volkmana**, *Średniowieczne osadnictwo w Nowej Marchii na podstawie polskich i niemieckich badań archeologicznych*; **Dietricha Handta**, *Rozważania nad problematyką dialogu polsko-niemieckiego*.

W 2005 r. WiMBP wydała również trzeci numer Zeszytów Naukowych z tekstami **Dariusza A. Rymara**, *Życie polityczne w Gorzowie w latach 1945-1948*; **Reinhardta Schmocka**, *Kształtowanie władzy w epoce renesansu na przykładzie margrabiego Jana Brandenburskiego - Jana z Kostrzyna*; **Witolda Pronobisa**, *Fryderyk Wielki w ocenach polskich historyków*; **Ralfa Gebuhra**, *Myśl i Kostrzyn - decyzja margrabiego Jana w sprawie nowej miejscowości centralnej (nowej siedziby)*; **Jarosława Jarzewicza**, *Architektura gotyckiej katedry w Gorzowie*; **Winfrieda Schicha**, *Lokacje miast margrabiów w Nowej Marchii: początki pod panowaniem Jana I i Ottona III*.

W chwili obecnej przygotowywane są materiały do kolejnych trzech numerów Zeszytów (4,5,6), które ukażą się na przełomie lipca i sierpnia tego roku.

Grażyna Kostkiewicz – Górską

Oddział Zbiorów Regionalnych WiMBP w Gorzowie Wlkp.

Jan Maurycy von Nassau-Siegen wywodził się z niderlandzkiego rodu, miał tytuł księcia Rzeszy Niemieckiej i od lat zaprzyjaźniony był z elektorem pruskim Fryderykiem Wilhelmem. Zasłużył się dla Słońska jako sprawujący najwyższą funkcję baliwa zakonu joannitów dla całej Brandenburgii. Był ceniony w Holandii i krajach niemieckich za zdolności organizacyjne i upodobanie do sztuk pięknych. Nie miał on żony ani dzieci, więc wszystkie dochody przeznaczał na inwestycje w podległych mu dobrach.

Podczas wojny 30-letniej, w 1639 r. wojska Albrechta Wallensteina spaliły Słońsk i częściowo zamek, a całkowicie zniszczyły go oddziały szwedzkie. Dla ratowania joannickiego Słońska, w 1652 r. książę elektor zarekomendował na funkcję baliwa swojego przyjaciela z lat młodości, niderlandzkiego księcia Jana Maurycyego von Nassau. Kronikarz zakonu von Winterfeld o nim napisał: *Pod jego rządami baliwat brandenburski przeżył swoje najszcześniejsze czasy i szczyt sławy. Podniósł on rangę zakonu tak wysoko, że najświetniejsi, wysoko postawieni panowie, starali się o pasowanie na rycerza, którego udzielił on w czasie swoich 27-letnich rządów 75. książętom, hrabiom i panom*.

9 grudnia 1652 r. książę Jan Maurycy przyjechał objąć urząd. W jego orszaku byli: ochmistrz dworu, dwóch szlachciców i ich dwóch służących, koniuszy, sekretarz, inżynier, kamerdyner, krawiec, kucharz, kowal, kwatermistrz z koniem, sługa z dwoma końmi, dwóch giermków, dwóch lokajów, czterech stajennych i sześciu woźniców z 13 końmi. 6 kroków przed wejściem do siedziby zakonu przywitali go: senior zakonu, komandor, kanclerz oraz rajcy miejscy. Natomiast 6 kroków za nim stali posłowie księcia elektora. Podczas konferencji przedstawiono nowemu baliwowi umowę, na mocy której on miał wyłożyć pieniądze na odbudowę zakonnych dóbr, a po jego śmierci spadkobiercy mieli otrzymywać 20 tys. talarów rocznie przez 50 lat. Potem książę Jan Maurycy został w kościele pasowany na rycerza i już mógł faktycznie objąć urząd mistrza zakonu. Wieczorem odbyła się uczta przy pięciu stołach. Zakupiono na nią specjalne francuskie wino, bo książę innego nie pijał. Cukiernik z Berlina sporządził słodkie konfitury. Na przyjęcie księcia przygotowano także: 7 tłustych wołów, 38 tłustych świń, 200 baranów, 34 antłaki masła, 60 kop jaj, 21 beczek trzech gatunków piwa: Herbster, Bernauer a nawet piwa polskiego.

Nazajutrz książę zrobił objazd dóbr, by zorientować się w stanie gospodarki. Od razu zdecydował, że z przyznanych jego spadkobiercom 20 tys. talarów, 2 tysiące będzie przeznaczanych na rozwój szkół w podległych wsiach. Aby poprawić stan majątkowy słońskich mieszczan, podatek określił na tylko 2 talary rocznie i zniósł wszystkie formy odrabiania zobowiązań. Takie rozwiązanie uznano za bardzo postępowe i sprzyjające stabilizacji mieszczan.

Gdy w 1652 r. baliw Jan Maurycy von Naussau-Siegen przyjechał objąć stanowisko w zakonie, musiał zatrzymać się w sąsiednim Kostrzynie, bo w Słońsku nie było dla niego godnego miejsca. Najważniejszą inwestycją była więc budowa pałacu w latach 1661-1668. Wzorowany on jest na pałacu myśliwskim książąt orańskich w Hadze, a zaprojektowali go holenderscy architekci: Cornelis Rykwaert i Peter Post.

Powstał budynek trzykondygnacyjny. Na piwnicach-magazynach były dwie kondygnacje reprezentacyjne. W części środkowej znajdowało się ozdobne okno - drzwi z balkonem. W części dachowej fronton posiadał trójkątny tympanon z herbem joannitów, poniżej którego umieszczono dewizę życiową Johanna Moritza: „Qua patet orbis. 1663” („Tak daleko jak sięga krąg ziemski”). Portale okien zdobiły motywy girland. Zamek-pałac oblewała 20-metrowa fosa z dwoma mostami. W 1653 r. od strony południowej założono ogród francuski ze stawem pośrodku.

(dokończenie na następnej stronie)



Na frontonie zamku znajdowały się dwie żeliwne tablice. Jedna z maltańskim krzyżem, druga z czteropolowym herbem rodu Nassau: na trzech polach znajdują się lwy a na czwartym trumna. Całość nakryta koroną. Tablice te już odrestaurowane powieszone zostaną w kościele. Przed zamkiem stały dwa ozdobne działa. Laweta jednego z nich znajduje się w muzeum w Gorzowie.

Za głównym wejściem znajdowała się okazała sień z dwoma rzędami schodów wiodących do sali reprezentacyjnej i do innych komnat. Sala reprezentacyjna na piętrze miała wymiary 18 m długości, 12,5 szerokości i 16,5 m wysokości. Drewniany sufit był bogato zdobiony. Wychodzące na ogród okna miały po 10,8 m wysokości i ozdobione były lukami oraz krzyżami maltańskimi. Na przeciwnych ścianach znajdowały się dwa kominki. Na ścianach wisiały liczne portrety. W sali tej oraz na ścianach klatki schodowej znajdowały się obrazy. Wyposażenie sali to duże drewniane stoły i rzeźbione krzesła z krzyżami maltańskimi.

Obok reprezentacyjnej sali znajdowały się pomieszczenia wielkiego mistrza: sekretariat, kancelaria, sala audiencyjna, gabinety i sypialnie dekorowane sztukateriami. Wnętrze, które możemy oglądać na starych zdjęciach, było więc raczej surowe, ale eleganckie.

9 października 2004 r. odbyła się w Gorzowie konferencja naukowa w 400-lecie urodzin Jan Maurycy (Johanna Moritza) von Nassau-Siegen zorganizowana przez Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Pro Europa Viadrina i Stiftung Brandenburg, a Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna wydała książkę, na którą złożyły się referaty wygłoszone podczas sesji: Wolfganga Stribrnego „Zakon Joannitów i Nowa Marchia”, Kaspiera von Oppena „Jan Maurycy von Nassau – życie i działalność”, Christy Kouschil – „Jan Maurycy Nassau – jego działalność jako Mistrza Joannitów Bawliwatu Brandenburskiego”, Dirka Schumann – „Zamek i kościół Joannitów w Słońsku”, Błażeja Skazińskiego „Losy joannickich zabytków”, Zbigniewa Czarnucha „Nassauowie w Polsce” i Krystyny Kamińskiej „Maurycy de Nassau w literaturze polskiej”. Wszystkie teksty opublikowane są po polsku i po niemiecku. Podczas konferencji zaprezentowano film Doroty Latour i Jerzego Paczki pt. „Konkwistator po polsku”, a w książce opublikowano zapis ścieżki dźwiękowej z tego filmu.

Dopełnieniem książki są liczne zdjęcia z portretami bohatera, obiektami przez niego wzniesionymi, z dokumentacją kulturowania jego pamięci.

K. Kamińska



Poezja najmłodszych

Z cyklu „Zabawy ze słowem”, 10 maja w filii Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ulicy Chełmońskiego rozstrzygnięto konkurs literacki dla dzieci w wieku od 11 do 15 lat. Prace miały wykazać umiejętne stosowanie związków frazeologicznych w tekstach prozatorskich i poetyckich. Pozornie konkurs jakich wiele, a jednak... Okazało się bowiem, że niektóre prace, zwłaszcza wiersze, są nadzwyczaj udane. Takim był wiersz utalentowanego Radka Banickiego ze Szkoły Podstawowej w Murzynowie. Wiersz tego 11-letniego chłopca, zaskoczył wszystkich (w tym także organizatorkę konkursu bibliotekarkę Elżbietę Wach), niezwykłą dojrzałością. Takie młode talenty mnie ogromnie cieszą – to w duszach takich młodych istot leżą losy naszej przyszłości.

Cisza

Cisza jak makiem zasiał,
lecz
w duszy walka trwa.
Czasami myśli czarne jak smoła
zwyciężają
czasami jednak ja.
Szukam pomocy
jak igły w stogu siana,
lecz
kiedy ją znajduję
jest niczym cicha woda
brzeży rwąca.
Milczenie jest jak gład twardy
ponury
nieprzenikniony,
lecz
ja stawiam mu opór
niczym wichurze
wiejącej mi w twarz.
I choć problemy mnożą się
nieskończenie
Ja walczę
Ponieważ nie mam wyboru.

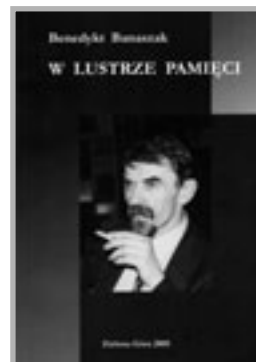
Radek Banicki

Pamięci poety

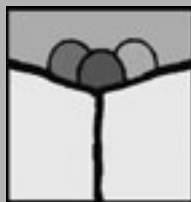
17 marca 2006 r. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wlkp. odbyło się spotkanie z poezją **Benedykta Banaszaka**. Wiersze poety czytał, długoletni przyjaciel i inicjator spotkania, aktor **Mieczysław Hryniewicz**.

Benedykt Banaszak urodził się w 1947 r. w Wilkanowie. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracował jako adwokat w Zielonej Górze. Debiutował w 1968 r. na łamach „Nadodrza”. Wydał dwa tomiki wierszy „W potrzasku myśli” – 1976 i pośmiertnie „W lustrze pamięci” – 2005, oba w Zielonej Górze. Wiersze publikował również w almanachach „Moment wejścia” – Poznań 1976 i „Zachłannie porywa nas czas” – Zielona Góra 1978. Był człowiekiem renesansu, kochał poezję, kino i jazz.

Zmarł nagle w 2004 r.



PEGAZ LUBUSKI. Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. **Ireneusz K. Szmidt**, z-ca red. nac. **Beata P. Klary**, sekretarz redakcji: **Danuta Zielińska**, współpraca **Grażyna Kostkiewicz**, **Krystyna Kamińska**, rysunki **Zbigniew Olchówek**, zdjęcia **Leszek Bończuk**, **I.K. Szmidt**, **Krystyna Kamińska**, archiwum. Wydawca: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220 958, 0501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, skład komputerowy **Paweł Marchwiński** 0 511 997 611.



Numer wydano dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu operacyjnego „Promocja czytelnictwa” oraz ze środków Województwa Lubuskiego.

Ferdynand Głodzik

Wielka przeprowadzka

według Leopolda Staffa - „Pierwsza przechadzka”

Będziemy kiedyś mieszkać w swoim domu
Z kranów popłynie czysta, ciepła woda,
Dość już szuflady w tej skrzyni z betonu
Będziemy stapać po swych własnych schodach
Przywiozłem deski, jadę po paliwo
Podarte leżą worki po cementcie
Płytki w łazience położone krzywo
Murarze znowu będą mieć zajęcie
Rośnie osiedle powstają już sklepy
Ciężkie od błota wloką swoje nogi
Wczoraj urwałem koło od przyczepy
Kiedy zbudują tutaj jakieś drogi
Sąsiedzi wkoło grodzą już parkany
Błoto na działce, wszędzie stoi woda
Pogięte rury wystają ze ściany
Będziemy stapać po swych własnych schodach.
Uprzątnę śmieci dookoła budynku
Spłacimy szybko kredyty i raty
Kiedyś zapłonie ogień na kominku
I doczekamy wreszcie własnej chaty.

SZYBKO I TANIO!

Na mym osiedlu za czwartym blokiem
Wyrasta wielki barak bez okien.
Z dala od drogi, bliżej kościoła,
Z ponurym dachem czarnym jak smoła.
Przy tej ogromnej masywnej budzie,
Codziennie kręcą się jacyś ludzie

Bo tu niedługo - najdalej w czwartek
Otworzy nowy się supermarket.
Cała załoga w pełni gotowa
Już układają na półkach towar
Jeszcze usuną drobne usterki
W kasach posadzą chude kasjerki,
Wtedy zenitu sięgną emocje
Zaczną się zniżki, ulgi promocje,

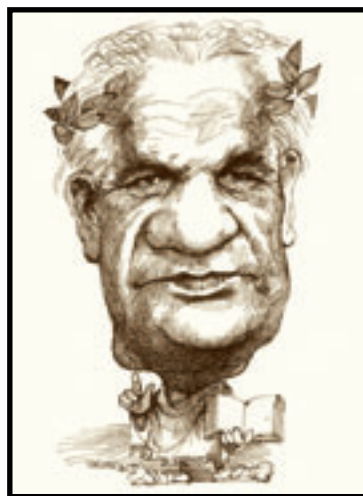
Do sklepu wtargną tłumy klientów,
Narobią tłoku, ruchu, zamętu.
Zrobi się tłoczno, rojno i gwarno.
Komuś się stłucze słoik z musztardą,
Komuś makaron na głowę spadnie,
Coś się rozleje, ktoś coś ukradnie,

Tłumy przycisną kogoś do ściany
Łamiąc mu żebra wózkami drucianym.
Przy kasie pęknie torba foliowa,
Sypie się mąka, zupa grochowa...

Personel sklepu ciągle na czatach:
Układa towar, sprząta, zamiata
Bo przed nim bardzo ważne zadanie:
Wciąż ma być więcej, szybciej i taniej!
Spieszmy do Unii więc szybkim krokiem
Póki nam taniość nie wyjdzie bokiem.

Gorzowscy pisarze piórkiem Olchowika

(dokończenie z poprzedniego numeru
prezentacji Galerii Karykatur WiMBP w Gorzowie Wlkp.)



Zdzisław Morawski



Maria Przybylak



Witold Niedźwiecki



Beata Igielska



Ryszard Botwina (Smeaton)



Edward Dębicki



Jerzy Zysnarski